

LEIGH MICHAELS

Siła perswazji

Tytuł oryginalny: Old school ties
Seria wydawnicza: Harlequin Romance (tom 183)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dżdżysta pogoda utrzymująca się przez większość dnia sprawiła, że zmierzch przedwcześnie spowił Archer's Junction. Staroświeckie latarnie, oświetlające centrum handlowe, zapaliły się wcześniej niż zwykle, mimo że była to już połowa kwietnia.

W małych wystawowych oknach cukierni, ulokowanej pomiędzy sklepem specjalizującym się w sprzedaży szkła z okresu Wielkiego Kryzysu a sklepem ze starymi koronkami oraz naprzeciwko magazynu z wyrobami z kutego żelaza, jasno płonęły światła. We wnętrzu unosił się intensywny zapach rodzynek, czekolady i orzeszków.

Heather DeMarco wzięła małą torebkę z woskowanego papieru, otworzyła ją wprawnym ruchem i zapakowała do niej spóźnionemu klientowi porcję ciasteczek w podwójnej czekoladowej polewie. Katherine DeMarco wydawała resztę przy kasie. Heather spostrzegła, że Katherine ziewa ukradkiem.

- Mamo - powiedziała łagodnie. - Idź do domu. Zamknę dzisiaj sama.

Katherine nie zdołała ukryć drugiego ziewnięcia.

- Nic mi nie jest, Heather. To wina pogody. Kiedy tak pada, chciałabym tylko wsunąć się do kokonu i spać.

Heather zauważyła jednak, że matka bez wahania zmieniła brązowy fartuszek i czepek na płaszcz przeciwdeszczowy i parasolkę.

Po wyjściu Katherine, Heather zaczęła przekładać pozostałe ciastka na koniec dolnej półki, by móc wyczyścić gablotkę. Nie było to jej ulubione zajęcie, ale po dwóch latach pracy w cukierni mogła robić to z zamkniętymi oczami.

Po drugiej stronie szklanej lady chłopak z grupy nastolatków, która wciąż tkwiła przy małym stoliku, spoglądał na nią z nadzieją w oczach.

- Jeżeli masz wyrzucić te resztki, Heather - odezwał się - to mogłabyś je nam dać.

Heather roześmiała się.

- Znasz zasady, Rod. Przy zakupie sześciu ciastek siódme dodajemy za darmo.

Rod spuścił oczy.

- Nie dostanę nawet rabatu?

- Wpadnij jutro idąc do szkoły, a obniżę cenę. Wtedy ciastka będą wczorajsze, więc teraz nie targuj się ze mną.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Zawsze warto spróbować - wyznał i kupił trzy ostatnie ciastka owsiano-orzechowe. - Twoja mama czasem sprzedaje taniej.

Heather podała mu je.

- Mama jest naiwna. A teraz wynoście się stąd wszyscy. Zamykamy. A poza tym to jest firma, a nie przechowalnia dla drużyny piłkarskiej.

- Czuję się dotknięty - poskarżył się Rod. - Bywam najmniej dokuczliwym klientem. Moja mama jest nawet wdzięczna, że po waszych ciastkach nie mam już w domu ochoty na obiad. - Otworzył drzwi. - No to chodźmy, chłopaki, skoro najwyraźniej nas tu nie chcą. Pójdziemy do szkoły i porzucamy sobie do kosza.

Heather zeszywniała. To nie twoja sprawa, przywołała się do porządku.

- Zaczekajcie chwilę, chłopcy - odezwała się jednak. - Czy macie na myśli starą szkołę?

Rod zrobił zakłopotaną minę. - Tak.

- Wydawało mi się, że jest zamknięta - ostrożnie powiedziała Heather.

- My nie zerwaliśmy kłódki z drzwi, to ktoś inny. Ale faktem jest, że zamknięcie znikło i budynek stoi otwarty na oścież. Jedyna przyzwoita sala gimnastyczna w tej części miasta znajduje się właśnie tam. Cóż złego w tym, że sobie trochę pogramy?

- Ponieważ to już nie jest szkoła publiczna. Budynek stał się teraz własnością prywatną, Rod. Przebywając wewnątrz bez zezwolenia, popełniacie wykroczenie.

- A kogo to obchodzi? Nikt nie zwróci na to najmniejszej uwagi, z wyjątkiem tych typków, które zerwały kłódkę. Dlaczego tylko oni mają z tego korzystać?

- Sprawa jest bezdyskusyjna, chłopcy. Budynek nie należy do was.

- Skoro ten, jak mu tam, kupił gmach szkoły, powinien coś z nim zrobić, no nie?

Heather zagryzła wargi. Rod był bystry. Zgadzała się z jego tokiem rozumowania, ale trudno przecież przeczyć sobie samej.

- To oczywiście, że powinien zmienić ją w coś użytecznego - napierał Rod - lub też sprzedać komuś, kto byłby w stanie to zrobić. Przynajmniej mógłby ją porządnie zamknąć. A tu takie tandetne kłódki. Nawet mój mały braciszek poradziłby sobie z nimi w dwie minuty. To tak, jakby facet nie dbał wcale o to, czy ktoś tam wejdzie.

- Rod, to nie usprawiedliwia wykroczenia.

- Spójrz prawdzie w oczy, Heather. Budynek będzie tak stał i gnił, aż pewnego dnia dach się zawali. Co w tym złego, że tymczasem ktoś z niego skorzysta?

Nim Heather zdążyła odpowiedzieć, chłopcy już wyszli. Wzruszyła bezradnie ramionami i dalej sprzątała gablotki, zastanawiając się przy tym, co powinna zrobić. Powiadomić miejscowy posterunek policji? Chłopcy postąpili źle, ale nasyłanie na nich przedstawicieli prawa byłoby przesadą. Bez wątplenia zostaną oskarżeni o włamanie i z powodu drobiazgu będą notowani na policji, podczas gdy prawdziwi włamywacze dawno już uciekli.

Nie była również taka głupia, by sądzić, że rozwiąże to sprawę. Podobny wypadek miał już miejsce. Ktoś z sąsiedztwa poskarżył się wówczas korporacji, która kupiła szkołę, lecz mimo zabezpieczenia włamano się do niej ponownie. Telefon na policję nie rozwiąże sprawy, popsuje za to jej stosunki z chłopcami. Odtąd nie będzie miała już na nich żadnego wpływu.

Heather postanowiła, że porozmawia z nimi jutro i zagrozi, że jeśli wydarzy się to jeszcze raz, zamelduje o tym, gdzie trzeba. Będzie musiała tak zrobić, bo gdyby coś się stało...

A jeśli dziś zdarzy się wypadek, któremu mogła zapobiec?

Niewykluczone, że to już trwa od dłuższego czasu, upomniała się w myślach.

Wrzuciła poplamiony czekoladą fartuszek do pojemnika na brudy, przeschotkowała wyzwoloną spod czepka falę kasztanowych włosów i ruszyła High Street w stronę domu. Przecznicę dalej, po lewej od centrum handlowego, wynurzył się z ciemności gmach szkoły.

Był to ciężki budynek, usytuowany w samym centrum dzielnicy. Spadzisty trawnik oddzielający szkołę od ulicy, niegdyś zadbany, teraz porastało zielsko. Niższe piętra wzniesiono z polnych kamieni, wyższe z dużej, ciemnoczerwonej cegły. Okna, drzwi i nieregularna linia dachu nosiły znamiona gotyku, co podkreślały jeszcze łuki i dodające lekkości fasadzie koronkowe kamienne zwieńczenia. Ponad wszystkim górowała wieża, wyższa o dwa piętra.

W dziennym świetle można było także dostrzec piękno, pozostałe w artystycznie ułożonych w ubiegłym stuleciu ceglach i kamieniach. Ale w wieczornym mroku stare gmaszysko wyglądało na zaniedbane i opuszczone, zupełnie jak dekoracja z kiepskiego filmu grozy. Heather pomyślała, że dla dopełnienia tego obrazu brak jedynie mgły otulającej niższe piętra i pisków nietoperzy krążących wokół komina.

Stara szkoła służyła uczniom przez dziewięćdziesiąt lat, od pięciu stała pusta. Przez ten czas większość szyb została wybita lub zasłonięta dyktą. Te okna, które pozostały nietknięte, spoglądały martwo w dolinę. Światło pobliskich latarni odbijało się słabo w brudnych szybach. Takie właśnie przyćmione światło przyświecało chłopcom w skrzydle mieszczącym salę gimnastyczną. Aż do tej chwili Heather nie zastanawiała się, jak radzą sobie w ciemnym, od dawna pozbawionym prądu budynku. Co za marnotrawstwo, pomyślała, obrócić tętniący życiem gmach w bezużyteczną ruderę!

- To aż grzech - rzekła bezwiednie.

Nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to głośno, dopóki z tyłu nie rozległ się męski głos.

- Z całą pewnością.

Heather obróciła się na pięcie i na rogu pokrytego piaskowcem bloku mieszkalnego zobaczyła starszego mężczyznę, pochylonego nad krzaczkiem.

-Och... witam, panie Maxner. Czy nie jest za mokro na sadzenie krzewów?

- Nie sadzę, Heather. Sprawdzam jedynie, jak rozwinęły się od ubiegłego roku. Wiesz, ta forsycja zaczyna już kwitnąć.

Heather zerknęła na pokryty żółtymi pączkami krzak, a potem znów na niebo.

- Wygląda na to, że dostanie przez noc kolejny łyk wody. Proszę spojrzeć na chmury, zbierające się nad szkołą.

Starszy pan wyprostował się powoli i spojrzął na wznoszącą się na tle ciemniejącego nieba sylwetkę budynku.

-Wiesz, tu odebrałem moją edukację, a szkoła wciąż jeszcze wygląda solidniej od tych współczesnych cudeniek.

- Wiem - westchnęła Heather. - Przed tygodniem byłam w nowej szkole. Po pięciu latach już widać rysy na ścianach, podczas gdy ta stoi pusta. Ale nie ma się czym przejmować.

Najwidoczniej Dennison Incorporated nie zamierza nic z tym zrobić.

Pan Maxner pokręcił głową.

-To oni ją kupili? Nie mam pojęcia, do czego Cole Dennison jej potrzebował, skoro pozwolił, by zmarniała.

Ze szczytu wzgórza rozległ się krzyk. Heather odwróciła się i zobaczyła paru chłopców, zbiegających po trawniku dzielącym ich od szkoły.

A więc stało się, pomyślała z przerażeniem. A ja jestem za to częściowo odpowiedzialna, ponieważ wiedziałam, gdzie są i nie zrobiłam w tej sprawie niczego.

Jeden z biegnących coś krzyczał. Z chwilą gdy Heather pojęła o co mu chodzi, zgłupiała do reszty. Pali się? Spojrzała na pana Maxnera i zobaczyła zdumienie w jego oczach. Skąd pożar w szkole? Nie było tam przecież gazu ani prądu.

Pan Maxner pospieszył do domu, do telefonu, a Heather pobiegła na drugą stronę ulicy na spotkanie wystraszonym chłopcom.

- Pali się? - spytała. - Czy rozpalaliście w środku ogień?

- Nie - wykrztusił jeden z nich. - Nie jesteśmy idiotami. Kiedy weszliśmy, poczuliśmy dym, więc zaczęliśmy się rozglądać i zobaczyliśmy, że pali się w jednym z magazynków nad salą gimnastyczną. Ktoś podłożył ogień.

Z oddali dobiegł głos syren wozów strażackich.

- Gdzie pozostali? - zapytała ostro. - Rod, Steve, Brian i Jay...

- Są nadal w środku. Próbują coś z tym zrobić. My pobiegliśmy po pomoc.

- Są nadal w środku? - szepnęła.

- Tak. W sali gimnastycznej było parę gaśnic. Nadjechał pierwszy wóz straży pożarnej. Kapitan, ubrany w gruby gumowy kombinezon, wyskoczył z samochodu i Heather podbiegła do niego.

- Do diabła - mruknął, kiedy usłyszał o chłopcach, odwrócił się i zawołał resztą ekipy. Potem uśmiechnął się gorzko do Heather.

- Nie dziwi mnie, że próbują gasić - powiedział. - Bez wątpienia sami go podłożyli.

Zanim zdołała to sprostować, odszedł dźwigając na plecach aparat tlenowy.

Po niespełna pięciu minutach, które dłużyły się jej niczym godziny, na schodach pojawili się chłopcy pod eskortą strażaka. Zbili się w gromadkę w rogu dziedzińca. Byli brudni, oczy mieli zaczerwienione od dymu.

Tymczasem wokół zgromadzili się okoliczni mieszkańcy. Z trwogą obserwowali potężne kłęby dymu i podejrzliwie przyglądali się dzieciom.

Heather podeszła do zbitych w kupkę chłopców. Popatrzyli na nią smętnym wzrokiem.

- Proszę, nie krępuj się - mruknął Rod.

- Nie mam zamiaru - odparła spokojnie.

- Oni myślą, że to nasza sprawka, Heather.

- Dziwi to was? Domyślam się, że czeka was jutro miła pogawędka z inspektorem przeciwpożarowym. Was i waszych rodziców.

Jeden z chłopców przełknął ślinę. Wszyscy wyglądali jeszcze bardzo dziecinnie. Heather napierała dalej:

- Następnym razem, kiedy postanowicie odgrywać bohaterów, zastanówcie się nad konsekwencjami.

- Bohaterów? - parsknął Rod. - Otóż właśnie nimi jesteśmy. Strażacy powiedzieli, że jeszcze kwadrans, a szkoła poszłaby z dymem.

Dreszcz przebiegł Heather po grzbiecie, ale zanim zdołała w pełni uświadomić sobie szkody, jakie mogłyby wyrządzić buchające ze szkoły płomienie, niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Archer's Junction miało szczęście.

Tym razem, pomyślała. A następnym? To oczywiste, że ktoś celowo podłożył ogień i że z łatwością zrobi to ponownie. Wtedy może być za późno na ratunek.

Kapitan straży pożarnej dostrzegł przerażenie Heather.

- Ci młodzi durnie próbowali gasić. Stare, opuszczone budynki niewarte są ryzykowania życiem.

-Ale gdyby nie wykryli ognia i nie próbowali pomóc...

Kapitan wrzucił ramionami, zdjął hełm i otarł pot z czoła.

- Wtedy rozpełtałoby się piekło - powiedział spokojnie. - Ogień tliłby się w środku godzinami, a gdyby runął dach... przy tym wietrze mógłby ogarnąć pół dzielnicy.

- Co za miła perspektywa.

- Przedstawiam pani tylko fakty. Oczywiście zostawię tu paru ludzi, żeby przypilnowali pogorzelniska.

Heather zdobyła się na uśmiech. W końcu to nie jego wina.

Kapitan przyjrzał się jej uważniej.

- Cukiernia? Byliśmy bliskimi sąsiadami. Właśnie wyprowadziłem się z centrum i - proszę mi wierzyć - nikt teraz nie przynosi ciasteczek strażakom. - Zasalutował i wsiadł do wozu.

- Kolejny podbój, co, Heather? - spytał przysłuchujący się rozmowie właściciel sklepu ze starymi koronkami.

- Do licha z wielbicielami Heather! - krzyknął właściciel magazynu z wyrobami kowalstwa artystycznego. - Co z tym pożarem? Czy mamy stać z założonymi rękami i czekać, aż zdarzy się to ponownie?

- Nie. W żadnym wypadku. Nie wiem, co należy zrobić, ale nie możemy tak po prostu czekać. Myślę, że powinniśmy zwołać zebranie sąsiadów. Pan będzie przewodniczył. Ja przygotuję kawę dla wszystkich.

- Teraz? - spytał z powątpiewaniem właściciel sklepu ze starymi koronkami.

- A czemu nie? - zdziwiła się Heather. - Przecież problem wynikł właśnie teraz.

W cukierni stłoczyło się dwa razy więcej osób, niż normalnie mieścił niewielki lokal. W rezultacie musieli podawać sobie kolejno kubeczki z kawą, bo nie zdołaliby się dopchnąć do kontuaru. Rozpoczęły się szczerze sąsiedzkie rozmowy.

Heather była zdumiona tym wylewem żalu. Zamknięcie szkoły i przeniesienie uczniów do nowego, mieszczącego się parę kilometrów dalej gmachu, tutejsza społeczność odczuła jako utratę tożsamości. Niegdyś Archer's Junction było samodzielnym miasteczkiem i jego mieszkańcy nie chcieli się pogodzić z wchłonięciem przez wielką aglomerację. Wielki, świecący pustkami gmach szkoły przypominał o tym nieustannie. Najbardziej uderzyła ją bierność tych wszystkich wypowiedzi. Wynikało z nich, że skoro nic nie dało się zrobić przez ostatnie pięć lat, to nie uda się również i teraz, więc najlepiej będzie napić się kawy, poużalać i wracać do domu.

- Do cholery! - krzyknęła. Gwar przycichł. - Coś trzeba z tym począć. Nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy zmusić Dennisona, by zrobił coś sensownego z tą szkołą.

- Dennison? - parsknął ktoś. - Nikt nie zmusi do niczego Cole'a Dennisona. To jeden z tych, którzy trzęsą miastem.

- W porządku - zdenerwowała się Heather.

- A więc jest bogaczem, ma pieniądze i władzę. Ale również jest człowiekiem.

Z tyłu sali rozległ się szyderczy śmiech.

- To kwestia dyskusyjna. Heather zignorowała ten wtęch.

- Jeśli powiemy mu, co stało się z jego własnością...

- Myślisz, że on się tym przejmuje? - spytał właściciel sklepu ze szkłem z okresu Wielkiego Kryzysu.

- Wykupił już połowę miasta. Z pewnością nie obchodzi go jakaś mała rudera.

- Ale obchodzi nas, więc zróbmy coś w tej sprawie. Może uda się go przekonać.

- To jakby komar chciał przestraszyć słonia - mruknął ktoś.

- I zdenerwował go wystarczająco, by wyrzucić nas na bruk - dodał następny.

- A więc o to chodzi? - zadrwiła Heather. - Boicie się tyrana? Dlaczego - waszym zdaniem - tyrani wyprawiają, co chcą? Bo zwyczajni ludzie chowają głowę w piasek. A ja nie zamierzam. Jesteście ze mną czy nie?

- Śmiało, Heather - zachęciła ją żona właściciela magazynu z kutym żelazem. - Głosujemy. Wszyscy, którzy są za przedstawieniem przez Heather sprawy panu Dennisonowi niech podniosą rękę...

- Nie o to mi... - odezwała się Heather. Tamta przerwała jej bezceremonialnie.

- Większość jest za. Na następnym zebraniu za tydzień wysłuchamy sprawozdania Heather i wtedy je przedyskutujemy. Na dzisiaj koniec.

- Kiedy ja właściwie...

Ale było już za późno. Pod naporem tłumu drzwi otworzyły się gwałtownie. Heather nagle została sama w cukierni. Kiedy zbierała stopy pustych kubeczków, zastanawiała się, jak poradzi sobie z wyznaczonym jej zadaniem. Czyżby naprawdę zgłosiła się na ochotnika?

Machinalnie podniosła do ust orzechowe ciastko z karmelem i zanim przypomniała sobie, że nie znosi tego smaku, zdążyła już zjeść połowę. Resztę wyrzuciła do śmieci. Wyłączyła światła i poszła do domu.

Może jednak jej sąsiedzi mieli rację i rozmowa z Cole'em Dennisonem będzie jedynie stratą czasu?

Zeszłej jesieni napisała do niego list z prośbą o pomoc w sezonowych pracach porządkowych na terenie Archer's Junction, ale jakoś nie widziała tłumów służb zieleni miejskiej, pielęgnujących trawniki wokół szkoły. Prawdę mówiąc, nie otrzymała nawet odpowiedzi i sama poświęciła parę dni na doprowadzenie tego miejsca do przyzwoitego wyglądu. Zapewne czekają to znów na wiosnę...

Ale tym razem to zupełnie inna sprawa, pomyślała. Ten człowiek nie może być potworem.

Gdybym tylko zdołała wyjaśnić Cole'owi Dennisonowi, co może wyniknąć, jeśli się nie zmieni tego stanu rzeczy, zajęłby się tym z pewnością. Postąpiłby tak każdy człowiek nie pozbawiony instynktu samozachowawczego, a tej cechy z pewnością nie można było odmówić Dennisonowi. Zadawalona doszła do szczytu wzgórza. Pokona tych wszystkich niedowiarków z centrum handlowego, choć sprawa będzie wymagała odrobiny uporu z jej strony.

W rzeczywistości potrzebowała wiele samozaparcia, próbując dodzwonić się do sekretarki Dennisona. Gdy to się jej wreszcie udało, dowiedziała się, że terminarz pana Dennisona jest szczelnie wypełniony na najbliższe trzy tygodnie. Sekretarka powiedziała to z ubolewaniem w głosie i Heather odniosła wrażenie, że jej rozmówczyni doskonale opanowała ten ton.

Heather niecierpliwie miętoszyła wąską spódniczkę z brzoskwiniowego tweedu, która co chwila podsuwała się do góry, odsłaniając kolana. Spódniczka stanowiła część nowego, wiosennego kostiumu. Włożyła go na wypadek, gdyby Cole Dennison zechciał ją przyjąć tego ranka.

- To bardzo ważne - rzekła spokojnie Heather, nim sekretarka zdążyła się rozłączyć.

- W takim razie... - odparła z wahaniem, a serce Heather zabiło mocniej. - Czy mogłabym dowiedzieć się o co chodzi, panno DeMarco?

- O budynek w Archer's Junction, stanowiący własność pana Dennisona.

- Budynek! - ożywiła się sekretarka. - W tej sprawie wystarczy porozmawiać z panem Sheldonem. Takie rozwiązanie zaproponowałby pan Dennison i cieszę się, że nie musi pani tracić czasu, czekając na wyznaczone spotkanie. Przełączę panią do tego wydziału.

Sekretarka pana Sheldona nie słyszała o starej szkole w Archer's Junction.

- Pan Sheldon z pewnością wie coś na ten temat - oświadczyła - ale nie ma go dziś w biurze. Mówi pani, że nie chodzi o wynajęcie budynku? W takim razie sprawa nie dotyczy naszego wydziału. Może raczej pan Hanford z zarządu nieruchomościami...

Heather zakręciło się w głowie.

Hanford był akurat obecny i mógł z nią rozmawiać. Heather odetchnęła z ulgą i wyniszczyła sprawę.

- Pożar? - zdziwił się Hanford. - Nic mi jeszcze o tym nie wiadomo. To z pewnością sprawa jakichś wyrostków. Na szczęście gmach był opuszczony. W każdym razie dziękuję za telefon, panno... Markley. Obiecuję, że zabezpieczymy wejście.

- Nie o to mi chodzi...

Ale Hanford już odłożył słuchawkę. Heather zabębniła palcami w wykonaną z nierdzewnej stali obudowę lodówki i wypowiedziała pod nosem szereg niecenzuralnych słów.

Po drugiej stronie małej kuchni Katherine wyciągała z czeluści piekarnika tacę z ciastkami.

- Heather, kochanie, damy nie wyrażają się w taki sposób.

- Osobiście uważam, że zareagowałam wyjątkowo spokojnie, mamó. Teraz przynajmniej wiem, z kim wszyscy rozmawiali na temat szkoły i dlaczego nic w tej sprawie nie zrobiono. Pan Hanford to... - przemilczała resztę wypowiedzi i uśmiechnęła się do matki. - Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zajęła się wszystkim sama. Ja spróbuję zobaczyć się z Cole'em Dennisonem.

- Myślałam, że nie udało ci się do niego zapowiedzieć.

- Wróć, jak tylko będę mogła. - Heather cmoknęła mamę w policzek i pogroziła jej paluszkami.

- A swoją drogą, słyszałam bajki o jakichś bezpłatnych poczęstunkach po lekcjach.

Oskarżenie nie było do końca prawdziwe, ale zanim Katherine wróciła do zasadniczego tematu, Heather wyszła z kuchni.

Skończył się już poranny ruch na ulicach i dotarcie do wzniesionego ze stali i szkła centrum zajęło Heather zaledwie dwadzieścia minut. Pomyślała sobie, że mieszkanie w Archer's Junction miało swoje zalety - w małych miasteczkach wszystko znajduje się o krok. Rzadko zapuszczała się dalej. Jeżeli czegoś nie mogła dostać w okolicznych sklepach, kupowała to w podmiejskich wielkich magazynach.

Tak jak wszyscy w mieście, wiedziała, gdzie znaleźć Dennison Incorporated. W ubiegłym roku ukończono budowę Dennison Tower i otwarto go nie kończącymi się uroczystościami. Heather nigdy nie była w środku, ale wiedziała wszystko o tym budynku. Gazety prześcigały się w informowaniu czytelników, ile ton marmuru zużyto na wyłożenie holu, jak dużo pokrywających budynek tafli szklanych i tak dalej.

Zaparkowała przy krawężniku tuż przed mosiężnymi okuciami obrotowych drzwi i spojrzała w górę. Wysokość konstrukcji przyprawiła ją o dreszcz.

Nie myśl o tym, powiedziała sobie. Myśl raczej o wybujałym ego człowieka, który wznosił pomnik przewyższający piramidy i nazwał go swoim nazwiskiem...

Po uprzednim doświadczeniu z telefonem Heather była zdumiona że nie musi przedzierać się między szpalerami straży, by dotrzeć na piętro zajmowane przez zarząd. Młody człowiek w informacji z uśmiechem wskazał jej odpowiednią windę. Heather niepewnie odwzajemniła uśmiech i wolno ruszyła przez hol.

Siedemdziesiąte czwarte piętro, pomyślała i zgodnie z tym, czego uczono ją na zajęciach z psychoterapii, głęboko wciągnęła powietrze. Zamknij oczy - nakazała sobie - i zanim jeszcze wsiądziesz do windy, wyobraź sobie całą drogę. Przecież panujesz nad swoim ciałem. Lęk wysokości jest uczuciem absolutnie irracjonalnym i potrafisz go pokonać. Musisz to zrobić, jeśli chcesz porozmawiać z Cole'em Dennisonem.

Przez minutę stała z zamkniętymi oczami. Gdy wreszcie wsiadła do windy, czuła się bardzo spokojna. Pomogło. Kiedy dotarła do drzwi opatrzonych jego nazwiskiem, ujrzała wewnątrz parę niewielkich okien, głębokie skórzane kanapy, dziesiątki metrów kwadratowych szarej wykładziny i sekretarkę o spojrzeniu równie chłodnym jak jej głos przez telefon.

- Panna DeMarco do pana Dennisona - powiedziała uprzejmie Heather.

Sekretarka zeszywniała.

- Niemożliwe, przecież dzwoniła pani rano.

- Owszem, rozmawiałam w tej sprawie z panem Hanfordem. Jak się okazało, muszę się zobaczyć z panem Dennisonem.

To nie było kłamstwo, Heather jedynie sformułowała swą wypowiedź tak, by sekretarka doszła do wniosku, że Hanford skierował ją do szefa.

- Proszę spocząć. - Sekretarka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Dziękuję bardzo. - Heather usiadła sztywno na najbliższej kanapie.

Sekretarka wzięła notes i podeszła do drzwi z orzechowego drewna. Obok framugi znajdowała się klawiatura. Sekretarka wcisnęła kilka cyfr i drzwi otworzyły się.

Heather odniosła wrażenie, że trzymają tego człowieka w zamknięciu. Czyżby był potworem?

Przez mgnienie oka widziała w ostrym słonecznym świetle sylwetkę wysokiego mężczyzny.

Oczywiście, to narozne pomieszczenie, z widokiem na całe miasto. Muszę się tylko trzymać z dala od okien.

Wróciła sekretarka.

- Pan Dennison jest teraz bardzo zajęty. Nie wiem, kiedy będzie mógł panią przyjąć.

- Poczekam - rzekła Heather starając się, by zabrzmiało to naturalnie.

Minuty dłużyły się w nieskończoność i nic się nie działo. Heather zaczęła zastanawiać się, czy jej się tylko wydaje, iż budynek kołysze się pod wpływem wiatru. Wytłumaczyła sobie, że to nic groźnego. Wieżowce zawsze chwieją się, gdy wieje silny wiatr lub... gdy mają runąć. Wspaniale, pomyślała. Tylko tego mi brakowało.

W końcu skupiła całą uwagę na sekretarce, obserwując każdy jej ruch, kiedy tamta pisała na maszynie, przeglądała papiery i telefonowała. Wysłuchiwała półgodzinnej rozmowy z kimś, kto był zapewne dostawcą, na temat przekąsek, krewetkowych chrupek oraz szampana na organizowane koktajl party. Sądząc po skali zamówienia, spodziewano się co najmniej obecności całej Trzeciej Armii.

Sekretarka weszła ponownie do prywatnego sanktuarium Cole'a Dennisona. Heather patrzyła uważnie i tym razem udało jej się dostrzec cały fragment biura, z impresjonistycznym obrazem wiszącym nad marmurowym obramowaniem kominka. Zauważyła również - jak sądziła - kombinację cyfr otwierającą drzwi.

Akurat na coś mi się przyda, pomyślała z powątpiewaniem.

Sekretarka wróciła.

- Obawiam się, że pan Dennison będzie musiał wyjść na lunch. Jeśli nie chce pani czekać...

- Oczywiście, że poczekam - odparła Heather. Wiedziała, że jeśli teraz pójdzie, nie starczy jej odwagi, by wrócić tu ponownie.

W parę minut później stał się cud. Sekretarka wzięła kubek z kawą i wyszła do holu.

Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, Heather zerwała się na równe nogi. Drżącą ręką sięgnęła do przycisków.

Usiądę wewnątrz i poczekam na niego, postanowiła. Sekretarka pomyśli, że zrezygnowałam.

Dennison skorzystał pewnie z prywatnego wyjścia i kiedy tamtędy wróci, zastanie mnie. Będzie musiał poświęcić mi chociaż minutę, zanim stąd wyjdę.

Palce Heather zatańczyły po klawiaturze. Dziewczyna na chwilę wstrzymała oddech, gdy rozległ się cichy trzask zamka. Przemknęła do wewnątrz, zanim drzwi otworzyły się do końca i złapała je, usiłując pospiesznie zamknąć. Przy framudze dostrzegła taką samą klawiaturę numeryczną. Nacisnęła coś na niej. Bez skutku.

- Walenie w to nic nie pomoże - odezwał się ktoś z tyłu miękki, lekko zachrypniętym barytonem.

Przeżrana Heather odwróciła się gwałtownie. Zza biurka wstawał mężczyzna. Wpadające przez okno promienie słoneczne oświetlały go od tyłu, tak że widziała jedynie zarys sylwetki.

Sięgnęła ręką w kierunku rogu biurka.

- Co pan robi? - spytała przerażonym głosem Heather. - Czy wzywa pan ochronę, żeby mnie stąd wyrzuciła?

- Nie. Z tym poradzę sobie sam. Drzwi zasunęły się z cichym szmerem.

- Proszę bliżej, panno DeMarco. Tak bardzo pragnęła pani spotkać się ze mną, że aż wtargnęła tutaj. Zamieniam się w słuch. Jak zamierza pani wykorzystać te bezcenne skradzione minuty mojego spokoju?

Heather gorączkowo usiłowała namacać za sobą klamkę, choć wiedziała, że jej tam nie ma.

Tymczasem wysoki, smukły i przerażający Dennison zbliżał się do niej powoli.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Sekretarka powiedziała, że wyszedł pan na lunch - rzekła Heather. Oddychała z trudem, powietrze paliło ją w płucach.

- A mnie poinformowała, że przysłał panią Joe Hanford - spokojnie odparł mężczyzna.

Powinna się domyśleć, że się wyda, pomyślała Heather. Przyjęła pełną godności postawę i spróbowała spojrzeć mu prosto w oczy, mimo że raziło ją słońce.

- Opowiadanie takich bajeczek było głupotą. Łatwo to można sprawdzić.

Cole Dennison przeszedł do zacienionej części biura i wreszcie Heather mogła mu się przyjrzeć.

To co zobaczyła, nie nappełniło jej otuchą. Mężczyzna uśmiechał się, ale był to uśmiech tygrysa.

DeMarco, ty idiotko, pomyślała, jeśli on zachowuje się jak maniak, to dlatego, że dałaś mu powody, włamując się do jego biura. Im szybciej wyjaśnisz, po co tu przysłałaś...

Język odmówił jej posłuszeństwa. Tylko spokojnie, powiedziała sobie. Uśmiechnij się do niego przyjacielsko. To ci pomoże.

Opanowała się i spojrzała na niego. Ujrzała czarne, lekko zakręcone na końcach włosy.

Zobaczyła wielkie, wilgotne brązowe oczy. Mocne nadgarstki i silne ręce, odsłonięte przez podwinięte rękawy białej koszuli. Płaski brzuch, wąskie biodra i długie nogi. Opalona dłoń o długich palcach sięgała po jej rękę...

Heather nigdy nie spotkała mężczyzny, który roztaczałby wokół siebie tak zmysłową aurę. To nie była sprawa wyglądu - znała przystojniejszych mężczyzn. Nie oddziaływał na nią jego strój, miejsce, w którym się znajdowali, ani jego reputacja. To musi być rodzaj chemii, myślała półprzyciemnie. Nic sztucznego, kupnego, bo zapach jego wody kolońskiej również nie robił na niej wrażenia. Raczej coś, co emanowało z niego samego.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- A więc miałam tak czekać cały dzień? Na próżno?

- Zaczepka wypadła nieco blado.

Cole Dennison wzruszył ramionami.

- Odkryłem, że jest to znakomity sposób na zniechęcanie pewnego rodzaju... natrętów. - W jego głosie znów pojawił się chrapliwy przydźwięk.

Heather zrozumiała sens tej wypowiedzi dopiero po chwili i otworzyła usta ze zdumienia.

- A więc myśli pan, że przeszedłem przez to wszystko jedynie po to, by pana zobaczyć?

- To się zdarza - odparł łagodnie.

- Załóżmy, że tak. Może bywają kobiety, które widzą w panu, lub raczej w pańskich pieniądzech, coś szczególnie pociągającego. Ale ja nie spojrzalabym nawet na kogoś tak aroganckiego, tak niesłuchanie próżnego...- urwała przestraszona własną wypowiedzią.

- Oczywiście, gdybym wiedział, jak bardzo pragnie pani mnie zobaczyć, panno DeMarco - posuwając się przy tym aż do włamania - zaprosiłbym panią natychmiast.

W jego aksamitnym głosie było coś, co sprawiło, że ciarki przeszły jej po plecach, a na myśl przyszedł osaczający swą siecią pająk.

- Nie włamałam się tu. Podpatrzyłam szyfr, kiedy sekretarka otwierała drzwi.

- O! Maleńkie szpiegostwo przemysłowe? I co spodziewała się pani znaleźć? A to pech, że zdecydowałem się zjeść lunch w biurze - dodał łagodnie, delikatnie dotykając dłonią jej łokcia.

- Z mojej strony nie musi się pan obawiać o swoje sekrety...

- Na pewno nie. Większość młodych dziewcząt uprawiających te sztuczki nie wygląda tak jak pani.

Otaksował ją od stóp do głów aprobującym spojrzeniem.

- Muszę z panem porozmawiać - rzekła niepewnie.

- Oczywiście - uspokoił ją. - Proszę usiąść.

Dobrze, że nie zaproponował mi, żebym się położyła, pomyślała z niepokojem. Przez chwilę odniosłam wrażenie, że...

W oświetlonej słońcem części biura stała skórzana kanapa, parę krzeseł i niski stolik ze szklanym blatem. Cole posadził ją na kanapie. Była głębsza, niż na to wyglądała i Heather zapadła się. Spódniczka błyskawicznie podjechała jej do góry. Heather usiłowała obciągnąć rąbek, świadoma, że Cole Dennison nie odrywa od niej wzroku.

- Myślę, że Mata Hari też miała ładne nogi - powiedział, siadając zdaniem Heather o wiele za blisko. Pochylił się w jej stronę i oparł rękę o poręcz kanapy. Jego dłoń prawie dotykała kasztanowych włosów dziewczyny, spływających na kołnierz tweedowego kostiumu. Heather czuła na karku ciepło jego ręki.

- To nie tak. - Pokręciła gwałtownie głową i falujące włosy załśniły w słońcu. - Nie mam nic wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym. Nie potrafiłabym odróżnić ważnych dokumentów od książki telefonicznej.

- Szkoda - powiedział Cole. - Zawsze chciałem pocałować prawdziwego szpiega.

Zaszokowana Heather szeroko otworzyła oczy. Spozrzęła, że Cole wpatruje się w jej usta. Wygląda na zgłodniałego, pomyślała i nerwowo oblizwała wargi.

- Nie jestem obłąkana - zaczęła niespokojnie.

- A już na pewno nie jak te psychopatki, które przesładują gwiazdorów filmowych, ponieważ wydaje im się, że w poprzednim wcieleniu byli małżeństwem.

- Nie słyszałem o takim odchyleniu - mruknął- choć z tego mogłoby wynikać wiele ciekawych rzeczy.

Cole opuszkami palców dotknął karku dziewczyny. Odczuła to jak ukłucie szpilką.

- Chciałam porozmawiać z panem o interesach i postąpiłam tak jedynie dlatego, że chroni pana idiotyczny system bezpieczeństwa.

- Nie uważam go wcale za idiotyczny - odparł.

- Ani nawet za szczelny. W końcu udało się pani tu włamać.
- Proszę mi wierzyć, to była jedyna droga. Chcę porozmawiać z panem o szkole, którą nabył pan w Archer's Junction.

Brwi Cole'a uniosły się w zdumieniu, tworząc idealny łuk, co nie uszło uwagi Heather.

- Szkoła? Mam jakąś szkołę? Chyba raczej nie. Owszem, przeznaczyłem ostatnio trochę pieniędzy na subsydiowanie mojej alma mater, ale...

- Mówiąc ściśle chodzi o byłą szkołę. Teraz jest to stary, opuszczony gmach, który w terminologii prawniczej można określić jako zachęcający do występku...

- Jest pani prawniczką?

- Nie, ale nie trzeba kończyć prawa, by wiedzieć, że czeka pana proces, jeśli pan czegoś z tym nie zrobi.

- A kto mnie zaskarży? Pani?

- Nie ja. Rodzice dzieci, które mogą tam sobie zrobić krzywdę, ludzie, których firmy mogą spłonąć, gdy ponownie jacyś podpalacze podłożą w dawnej szkole ogień.

Cole ani drgnął, lecz nagle prysnął gdzieś jego swobodny nastrój.

- Co to znaczy, ponownie?

No, pomyślała Heather, wreszcie udało mi się go zainteresować czymś innym niż tylko moimi nogami.

- Wczoraj szkoła omal nie spłonęła do cna.

- Nic mi nie wiadomo o pożarze na terenie którejs z moich nieruchomości. Chyba wybrała się pani z tym do niewłaściwej osoby, panno DeMarco. Nie mam żadnej...

- Oczywiście, że tak - fuknęła. - Na tabliczce figuruje pańskie nazwisko. A poza tym parę miesięcy temu wysłałam do pana list z prośbą o uporządkowanie terenu, musi więc pan coś o tym wiedzieć.

- Listy tego rodzaju są kierowane do...

- Wiem - rzekła z niesmakiem Heather. - Do pana Hanforda z działu nieruchomości. Proszę go zapytać. Rozmawiałam z nim dziś rano, więc będzie wiedział, o co chodzi.

- Naprawdę rozmawiała pani z Joe'em? - spytał zdumiony Cole. - Powiedział mi, że pani nie zna.

- Bo uważa, że nazywam się Markley. I nie dziwi mnie, że nie słyszał pan o pożarze. Widocznie uznał to za zbyt błahą sprawę. Dlatego tak nalegałam na rozmowę z panem.

Leciutko drgnęły mu kąćki ust.

- Proszę mi powiedzieć, co tak panią martwi, panno DeMarco.

Heather spłoszyła się. Nie przypuszczała, że Cole Dennison okaże nagle tak wielkie zainteresowanie i to zbiło ją z tropu.

Opowiedziała mu jednak o pożarze, ostrzeżeniu, jakie usłyszała od kapitana straży pożarnej i o tym, że ogień zdołano ugasić tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Mówiła o szkole ponuro wyglądającej na szczycie wzniesienia i o tym, jak przygnębiająco wpływa ten widok na okolicznych mieszkańców. Poskarżyła się też na tandetne kłódki, które zerwali wandalę.

- A tak naprawdę to martwię się o te dzieciaki grające w kosza w ciemnej sali gimnastycznej - dodała wzruszając ramionami.

-I czego w związku z tym pani ode mnie oczekuje? Mam postawić straż wokół budynku? - spytał delikatnie, gładząc ją palcami po szyi.

- Będzie pan odpowiedzialny, jeśli któremuś z tych chłopców coś się stanie. Sądzę, że powinien pan przedsięwziąć wszelkie środki, by temu zapobiec.

-W tym punkcie się z panią zgadzam, panno DeMarco.

Heather chciała mu jeszcze powiedzieć, że jeśli przywróci się do życia szkołę, problem rozwiąże się sam, ale Cole zerwał się nagle i podszedł do biurka.

- Maggie, czy Joe skończył już lunch? Chcę widzieć go natychmiast po powrocie. I niech przygotuje wszystkie materiały dotyczące... - tu zerknął na Heather i powtórzył za nią: - byleż szkoły imienia Noaha Webstera w Archer's Junction. Bezzwłocznie. Nie zamierzam ślęczeć nad tym cały dzień. - Odłożył słuchawkę i dodał: - Proszę, panno DeMarco. Jeśli ta sprawa nas dotyczy, zajmiemy się nią.

- Jeśli was dotyczy? - Heather pokręciła głową z niedowierzaniem. - Naprawdę nie wie pan, co posiada?

- No cóż, w zeszłym roku wykupiliśmy firmę, która miała dużo różnych dziwnych nieruchomości.

Może to chodzi o jedną z nich. Ale nadal uważam, że jest pani w błędzie.

- Naprawdę widziałam pańskie nazwisko na tabliczce. Nie ma dwóch Dennisonów. - Wstała i poprawiła spódniczkę.

Spojrzał na nią i podszedł bliżej.

- Jeśli budynek nie należy do nas, ustalę kto jest właścicielem i dam pani znać.

- Dziękuję. - Odwróciła się w stronę drzwi i podała mu rękę, chociaż wolałaby tego nie robić. Z ulgą stwierdziła, że przestał być tak bardzo czarujący, choć nadal w powietrzu unosiła się zmysłowa atmosfera. Gdy tylko zetknęły się ich dłonie, Heather poczuła delikatny dreszcz przeszywający jej całe ciało.

Cole nie zwolnił uścisku. Wręcz przeciwnie, lewą ręką delikatnie objął jej ramiona.

Heather spojrzała na niego ze zdziwieniem. Rozchyliła usta, chcąc spytać co wyprawia i wtedy doszło do niezwykłego pocałunku. Zawładnęła nią zniewalająca aura. Wilgotne, miękkie wargi dziewczyny poddały się naporowi jego ust i Heather bez sprzeciwu pozwoliła, by delikatny, lecz mocny język mężczyzny wśliznął się przez nie głęboko.

Powoli i jakby z ociąganiem wypuścił ją z ramion. Heather zamrugowała dwukrotnie.

- Co pan... - spróbowała wykrztusić, głos jej drżał i nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Cole Dennison uśmiechnął się. Heather zauważyła, że po raz pierwszy wygląda na szczerze ubawionego. Twarz mu jaśniała, wzrok błyszczał figlarnie, a gdy się wreszcie odezwał, w jego głosie słychać było śmiech.

- DeMarco, byłabyś wspaniałym szpiegiem. Nawet nie usiłowała go uderzyć, uważając to za stratę czasu. Zamiast tego skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała wymownie na drzwi.

- Czy może mnie pan stąd wypuścić? - spytała.

- Z pewnością nie potrzebujesz do tego mojej pomocy - odparł rozbawiony i dotknął paru klawiszy, a drzwi rozsunęły się.

Sekretarka spojrzała w jego stronę z uśmiechem, lecz na widok Heather wypuściła z ręki kubek z kawą. Natychmiast zaczęła gorączkowo szukać czegoś, czym mogłaby wytrzeć brązową kałużę, rozlewającą się po jej lśniącem czystością biurku.

Heather przeszła spieszenie, a gdy była już przy drzwiach wyjściowych, kącikiem oka dostrzegła, jak Cole Dennison wygraża palcem sekretarce.

- Eileen, bądź ostrożniejsza, wprowadzając kod otwierający drzwi - powiedział. - Przez ostatnie pół godziny znajdowałem się w stanie moralnego zagrożenia.

Moralnego? Chyba chciał powiedzieć - śmiertelnego, pomyślała Heather.

Wystarczyło zaledwie parę następných dni i świadomość, że deprymujący pan Dennison znajduje się w odległości piętnastu kilometrów, by Heather spojrzała na to wszystko z dystansem i odzyskała poczucie humoru. W końcu nie było tak źle. Cole Dennison nie okazał się żadnym

potworem, a jedynie nieco zbyt pewnym siebie i swych wdzięków mężczyzną. Wysłuchał jej jednak.

Potrafił również skutecznie działać. W kilka dni po wtargnięciu do jego biura Heather otrzymała wspaniały bukiet, złożony z tulipanów i narcyzów. Na bileciku widniały słowa: „Moja. Cała moja”. I podpis. Heather roześmiała się i włożyła kwiaty do wazonu, stojącego na oknie wystawowym ciastkarni, nie troszcząc się nawet o usunięcie karteczki.

Kiedy następnego dnia szła chmurnym rankiem do pracy, zauważyła zaparkowaną przed szkołą furgonetkę bez żadnych oznaczeń. Wokół budynku kręcili się jacyś ludzie. Architekci? A może specjaliści od renowacji budynków?

W czwartek wpadła do cukierni po swoje cotygodniowe zamówienie sąsiadka ze sklepu z kutym żelazem. Ze zdziwieniem spojrzała na stojące w oknie kwiaty.

- Heather DeMarco, co mówi na ten temat twoja matka?

- Nic. - Heather podniosła wzrok znad czekoladowych ciasteczek, które układała w gablotce. - Sama dostała kwiaty parę razy w życiu.

- Z tak wymownym biletem? Musisz być w bardzo zażyłych stosunkach z tym miliarderem.

- Ależ skąd - roześmiała się Heather. - On nawet nie wie, gdzie mieszkam. Zaadresował przesyłkę: „Dla panny Heather DeMarco, gdzieś w Archer's Junction”. Potwierdził w ten sposób, że szkoła należy do niego.

- Jakby ktoś w to wątpił. No, ale mniejsza z tym, jak udało ci się to załatwić, Heather. Właśnie wyładowują spychacze.

Heather upuściła tacę i ciastka rozsypały się po podłodze.

- Jak to, spychacze? Nie mogą zburzyć szkoły!

- Mnie to też zbytnio nie cieszy, ale kiedy już uporządkują teren, może ktoś coś w tym miejscu zbuduje. - Sąsiadka wzięła swoją paczuszkę i wyszła ze sklepu.

Heather usiłowała zdjąć fartuszek, ale palce odmawiały jej posłuszeństwa.

Cole Dennison obiecał jej, że się tym zajmie. Widocznie jego metody polegały na wyburzaniu budynków znajdujących się w dobrym stanie.

- Witam, panno DeMarco. Przyszedłem pani podziękować.

Heather zdumiała się. Przed nią stał kapitan straży pożarnej. Bez hełmu i ochronnego ubioru wyglądał bardzo młodo.

- To bardzo miło, że przyniosła pani wczoraj ciastka dla mojej załogi.

- Dzień dobry - rzekła krótko.

Kapitan wydawał się bardzo zmieszany takim powitaniem. W rękę ścisnął plastikową kopię hełmu strażackiego.

- Postanowiłem panią obdarować pamiątką, którą wręczamy dzieciakom podczas wizyt w remizie.

Heather, widząc rozczarowanie na twarzy gościa, dodała:

- Wcale pana nie unikam, kapitanie, ale właśnie zaczynają burzyć szkołę.

- A pani chce to obejrzyć - rzekł z nadzieją w oczach.

- Nie zamierzam tego oglądać! Muszę ich powstrzymać.

- Co? To śmieszne. To stara bomba zapalająca...

- To wcale nie musi być bomba zapalająca. Wystarczy, by znów zaczęła działać jako szkoła. Czy tylko ja jedna to rozumiem? - Wypadła z ciastkarni i popędziła w stronę szkoły.

Rod z paczką chłopaków stali w pobliżu domu pana Maxnera.

- Myślałam, że będziecie w samym centrum wydarzeń - powiedziała Heather.

- Inspektor przeciwpożarowy uwierzył, że to nie my podłożyliśmy ogień - odparł Rod - ale kazał nam trzymać się z dala od szkoły.
- No cóż, przynajmniej tym razem nikt nie będzie miał do was pretensji.

Na wzgórzu wiał zimny wiatr. Heather schowała dłonie do kieszeni płaszcza i myślała o tym, co się dzieje na szkolnym dziedzińcu. Jej najgorsze obawy jeszcze się nie potwierdziły. Przed szkołą stał zaparkowany jeden spychacz, a drugi właśnie wyładowywano z platformy transportowej.

Poczekala, aż spychacz zjedzie ostrożnie z rampy i zaparkuje obok pierwszego. Wówczas przeszła na drugą stronę ulicy i zawołała operatora maszyny. Ruchem ręki pokazał jej, żeby się oddaliła, potem wysiadł z kabiny.

- Proszę pani, niech się pani cofnie. Te stare budynki czasem rozpadają się w różne strony. Ani to było w głowie Heather.

- Kiedy zaczynacie?

- Nic ciekawego pani nie zobaczy, dopóki nie przyjedzie dźwig z kulą do burzenia. Niech pani przyjdzie rano. Najpierw rozwałą wieżę. To potrwa parę dni. I ze dwa tygodnie, aż wszystko uprzątną. Tylko proszę stać po drugiej stronie ulicy, słyszy pani?

Podjechała wywrotka i jeszcze jakaś ciężarówka. Dwaj ludzie zdjęli z niej zapory i, łącząc je plastikowymi taśmami, zaczęli okalać teren szkoły. Zupełnie jak policja ogradzająca miejsce zbrodni.

Trafne porównanie, pomyślała Heather i lzy napłynęły jej do oczu. Cole Dennison działał wyjątkowo skutecznie. Jeśli zawadzał mu jakiś budynek, miał na to proste rozwiązanie.

Wyburzyć go i po kłopotcie. Szybko, zanim ktokolwiek zdąży zaprotestować.

Heather niecierpliwie potrząsnęła głową, starając się uspokoić i zebrać myśli.

Praca przy wznoszeniu zapór postępowała powoli. Powinna potrwać jeszcze parę godzin. A potem na pewno sprawdzą wszystkie pomieszczenia budynku, by upewnić się, że nikogo nie ma w środku. Nawet gdyby dźwig z burzącą kulą nadjechał lada chwila, i tak nie zdążą przed końcem dnia. Dennison nie każe im chyba pracować w nocy.

Gdyby tylko mogła złapać go gdzieś dzisiajszego wieczoru, porozmawiać z nim przez pięć minut...

Nie rób sobie złudnych nadziei, Heather, pomyślała. Rozmowa z nim to tylko strata czasu. Zepsułabyś mu jedynie przyjęcie.

Przyjęcie. Tknięta nagłą myślą wróciła na drugą stronę ulicy i podeszła do Roda.

- Czy chcesz patrzeć, jak szkoła się wali? - spytała.

- To może być ciekawe, ale... zdaje się, że nie tego ode mnie oczekujesz. O co chodzi, Heather?

- Zostań tu aż do zmroku, Rod. Postaraj się, żeby nie zaczęli burzyć szkoły i...

- Tylko w jaki sposób. Oni mają spychacze.

- Wymyśl coś, wdrzyj się do środka lub przykuj łańcuchami do drzwi. Postaram się zapobiec rozbiórce, ale potrzebuję trochę czasu.

- Kiedy obiecaliśmy inspektorowi trzymać się z daleka od szkoły.

- Rod, upiekę ci za to na jutro całą tacę twoich ulubionych ciasteczek.

Zanim chłopiec zdążył zaprotestować, Heather pobiegła do domu. Gnębił ją tylko jeden problem. W co powinna się ubrać, idąc na przyjęcie dla setek osób?

Parę godzin później Heather, spacerując po wielkim holu Palace Grande, stwierdziła, że bez zaproszenia równie trudno będzie wejść wieczorem na przyjęcie u Cole'a Dennisona, jak do jego biura rano. Strażnicy stojący u stóp wielkich schodów skrupulatnie sprawdzali listę gości.

W wejściu pojawiła się dobrze zbudowana młoda kobieta, w sięgającym do kostek futrze z norek. Na głowie miała obsypany cekinami złoty turban, przechodzący u góry w ostry szpic. Mimo że czarna wieczorowa sukienka Heather prezentowała się blado na tym tle, strój nieznanym kobietom kojarzył jej się z koniem cyrkowym.

- Dobry wieczór, panno Winchester - odezwał się jeden ze strażników. - Miło znów panią gościć. Młoda dama spojrzała na niego zadzierając nosa.

- Elizabetta Winchester! - krzyknęła jakaś kobieta za plecami Heather. - Tak się cieszę, że cię widzę! Jak było na Riwierze?

Tłum różnobarwnie ubranych kobiet otoczył konia cyrkowego i wszyscy ruszyli schodami w stronę sali balowej.

Wiedzioną instynktem Heather dołączyła do nich i gdy po chwili znalazła się wewnątrz, oddaliła się od rozszczebiotanej, mówiącej z wyszukaniem akcentem grupy absolwentek elitarnych uczelni. Wszystkie panie znały się doskonale, nie uchowałyby się więc długo pomiędzy nimi.

Wzięła kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera, znalazła sobie spokojny kącik przy filarze w głębi sali i oparła się o niego, mając nadzieję wytrwać tak przez resztę wieczoru.

Rano Heather najwidoczniej nie doceniła skali zamówień składanych telefonicznie przez sekretarkę. Przyjęcie było o wiele większe, niż się spodziewała. Kandelabry świeciły jasno. Na wprost niej znajdował się bufet, przyozdobiony rzeźbami z lodu, od łabędzia poczynając, na jednorożcu kończąc. Na estradzie grała orkiestra. Kilka par tańczyło, lecz reszta gości przechadzała się po sali, tłoczyła przy bufecie lub siedziała przy otaczających parkiet stolikach. Heather zdawało się, że jest tu co najmniej osiemset osób, a sala balowa nie była specjalnie zatłoczona.

Niespodziewanie szybko dostrzegła Cole'a Dennisona. Prezentował się doskonale w nieskazitelnie skrojonym smokingu i, mimo że nie był najwyższym ani najprzystojniejszym mężczyzną na sali, zwracał na siebie uwagę. Przechodził właśnie od bufetu w stronę olbrzymich drzwi, w pobliżu których stała Heather.

Cole podszedł do kobiety w złocistym turbanie, objął ją, pocałował w policzek i pomógł zdjąć futro z norek. Dama ubrana była w złocistą, powłóczystą szatę. Widocznie postanowiła stać się centrum zainteresowania wszystkich obecnych, a już z pewnością Cole'a Dennisona, pomyślała Heather.

Cole ruszył z powrotem. Pewnie by odnieść futro swej piękności do prywatnej garderoby. Cóż za poświęcenie!

Heather oderwała się od filaru. Wystarczy, że przejdzie przez salę i spotkają się w garderobie, gdzie nikt im nie przeszkodzi.

Tłum zaczął się przemieszczać w odwrotnym kierunku, co utrudniło jej zadanie. Nadepnęła komuś na nogę i gdy podniosła wzrok, mamrocząc jakieś przeprosiny, znalazła się oko w oko z sekretarką.

Cholera jasna, przemknęło jej przez głowę. Jest tu z osiemset osób, a ja musiałam wpaść akurat na nią!

Dała nura w bok, mając nadzieję, że zgubi się w tłumie. Znalazła się już prawie u celu, gdy spostrzegła strażników zmierzających w jej stronę. Podobnie jak goście nosili wieczorowe stroje, lecz Heather rozpoznała ich bezbłędnie. Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni, o bardzo zdecydowanym wyglądzie, zachodzili ją z dwóch stron, odcinając tym samym drogę ucieczki. Wystawią ją za drzwi, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować.

Jeden ze strażników zatrzymał się o krok od niej.

- Czy mógłbym zobaczyć pani zaproszenie? - spytał uprzejmie.

- Oczywiście - odparła Heather, grzebiąc nerwowo w torebce, by zyskać na czasie. - O Boże - roześmiała się nerwowo. - Gdzieś mi zniknęło, musiało chyba wypaść...
Ale było już za późno. Futro z nerek bezpiecznie spoczęło w garderobie, a Cole Dennison odprowadzał damę w złocistej kreacji w stronę bufetu.
- Pozwoli pani ze mną - rzekł strażnik, ujmując ją pod rękę. - Sprawdzę pani nazwisko na liście zaproszonych osób.
Heather pomyślała, że bez wysiłku podźwignąłby ją do góry. Jeszcze chwila i Cole Dennison zniknie w tłumie, a wraz z nim przepadnie nadzieja na ocalenie szkoły.
Otworzyła usta, starając się krzyknąć jak najgłośniej. Sama nie wiedziała, skąd wzięły jej się te słowa:
- Cole Dennison!
Cole zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Strażnik podniósł ją i ruszył w stronę wyjścia.
Heather odwróciła głowę i wrzasnęła:
- Cole Dennison, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo! Co masz zamiar zrobić w sprawie mojego dziecka?

ROZDZIAŁ TRZECI

Ostatnim obrazem, jaki Heather zapamiętała z sali balowej, był Cole Dennison, pochylający się nad odzianą w złocistą szatę damą. Wyglądało to tak, jakby chciał ją ochronić przed atakiem furiatki lub przed walącym mu się na głowę sufitem.
Strażnicy pochwycili Heather za ramiona i błyskawicznie wywlekli z sali balowej do najbliższego przedpokoju. Posadzili ją na krześle. Czowała się fatalnie nie tyle z powodu brutalnego potraktowania, ile w związku z tym, co wykrzyczała. Skoro już musiała zwrócić na siebie uwagę Dennisona, mogła zrobić to inaczej.
- Mam siniaki - mruknęła. - Spójrzcie, coście narobili. Miną całe tygodnie, zanim będę mogła włożyć sukienkę bez rękawów.
Otworzyły się drzwi.
- DeMarco, stajesz się moim prawdziwym utrapieniem - oświadczył Cole Dennison. - O co ci chodzi tym razem, do cholery?
- Ostrożnie - rzekł jeden ze strażników. - Nie sprawdziliśmy, czy jest uzbrojona.
Cole Dennison spojrzał na nią zza ramienia strażnika. Wodził powoli wzrokiem wzdłuż całego ciała dziewczyny, od cienkich ramiączek sukienki aż po czubki atłasowych pantofelków. Nim skończył, Heather płonęła cała ze wstydu i złości. Jak śmiał ją tak obmacywać, wręcz rozbierać wzrokiem?
- A gdzieżby miała ukryć broń? - spytał drwiąco.
- Pod tą sukienką nie zmieści się nic.
Wskazał kciukiem drzwi i obaj strażnicy niechętnie wyszli.
Cole Dennison okręcił krzesło i usiadł na nim okrakiem, splatając ręce na oparciu.
- Masz sześćdziesiąt sekund na wytłumaczenie się- powiedział.
- Nie możesz zburzyć szkoły. Dennison złapał się za głowę.
- Czy ja dobrze słyszę? Przecież sama tego chciałaś.
- Powiedziałam, że wygląda ponuro i trzeba coś zrobić, zanim dojdzie do wypadku.
- Więc zająłem się tym. Kiedy rozbiorę gmach, zagrożenie zniknie i...
- Nie wolno niszczyć pamiątek.

- Zdecyduj się wreszcie, DeMarco. Czy to jest w końcu zabytek, czy rudera? Przecież omal nie spłonął...

- To nie był wcale wielki pożar. Cole grzmotnął się pięściami w głowę.

- Kim ty, do cholery, jesteś? Historykiem sztuki?

- Lubię stare budynki - odparła sztywno. - A ten jest wspaniały. Widziałeś go chociaż?

- Po co?

- Bo jest unikalny, interesujący, solidny i...

- Pełen robactwa.

Heather z niesmakiem pokręciła głową.

- Czy to ci właśnie powiedzieli twoi architekci i specjaliści od rekonstrukcji zabytków?

- Jacy znów architekci?

- Ci, których przysłałeś - tłumaczyła jak dziecku.

- To byli specjaliści od rozbiórek.

- Zatrudniłeś facetów od wyburzania domów nie szukając nawet innego rozwiązania?! - krzyknęła.

- Panno DeMarco, dziewięćdziesiąt pięć procent starych budynków ulega rozbiórze, ponieważ są przestarzałe i nie nadające się do niczego. Trudno o lepsze rozwiązanie.

- Szkołę można zaadaptować do innych celów.

- Czy wiesz, ile to kosztuje?

- Pieniądze to jeszcze nie wszystko.

- Rozboliła mnie głowa - powiedział Dennison.

- Nic dziwnego, skoro się w nią walisz.

- To wskutek rozmowy z tobą - mruknął. Heather pomyślała, że lepiej nie poruszać tego tematu.

- Pomyśl, ile satysfakcji sprawiłoby ci uratowanie szkoły.

- Jakoś przeboleję tę stratę.

- To czemu nie pozwolisz spróbować innym?

- Chcesz ją ode mnie kupić? Heather nie wierzyła własnym uszom.

- Nie mam tyle pieniędzy.

- Więc sprzedam ci ją bardzo tanio, wręcz za bezcen. Ale uprzedzam lojalnie, że restauracja tej rudery będzie kosztowała parę milionów dolarów. - Cole spojrzął na zegarek i wstał. - Czas minął. Dzięki za troskę o moją własność.

- Może ją chociaż obejrzysz? - spytała.

- Moim zdaniem to tylko strata czasu, panno DeMarco - odparł uprzejmym, lecz wykluczającym sprzeciw tonem.

- Co się stanie z tym miejscem?

- To już moja sprawa, prawda? A teraz osobiście wsadzę cię do taksówki.

- Przyjechałam samochodem - odburknęła.

- W takim razie poproszę strażników, żeby cię przypilnowali, dopóki portier nie przyprowadzi auta z parkingu. Zupełnie zapomniałem - dodał ironicznym tonem. - Moje gratulacje z powodu dziecka. Jeśli to będzie chłopiec, daj mu moje imię. Będę bardzo szczęśliwy...

Oddalił się, nim Heather zdążyła zdjąć pantofel i walnąć go w głowę tak, by zaczęła boleć naprawdę.

Zbliżał się świt, a Heather wciąż nie mogła zasnąć. Wstała z łóżka, owinęła się w koc i usiadła na ławeczce przy wykuszowym oknie w saloniku. Z tego właśnie okna w jej małym mieszkaniu, mieszczącym się na drugim piętrze starego, zbudowanego z piaskowca domu, widać było szkołę. Do czasu, pomyślała.

W słabym świetle poranka gmach wyglądał złowieszczo i przerażająco. A jednak strzeliste kominy, dumne łuki okien i górująca nad wszystkim wieża kryły w sobie wewnętrzne piękno. Stara szkoła przypominała jej teraz samotnego skazańca, oczekującego na stracenie w promieniach wschodzącego słońca.

Księżyc już zaszedł, chmury pokrywały niebo, ale na szkolnym dziedzińcu migotały gwiazdy... Heather przetarła oczy i spojrzała uważniej. To nie żadne gwiazdy, tylko światła lamp, latarek i chybotliwe płomyki świec.

Włożyła dzinsy, bluzę i zbiegła na dół po schodach. Drzwi do mieszkania pana Maxnera były otwarte, a on sam stał przy kuchence ze starym dzbankiem do kawy w dłoni. Weszła do środka.

- Czy już czas? - spytał. - Czy już idziemy na pikietę?

-Co?

- To młody Rod nas wezwał. Tylko że w nocy było trochę za zimno na czuwanie. Chłopak obleciał wszystkich sąsiadów.

- Wszystkich?

- Przynajmniej większość z nich - sprecyzował pan Maxner. - Nikomu z nas nie podoba się ten pusty gmach, ale pomysł zburzenia go tym bardziej.

- To znaczy, że chcą zagrozić drogę spychaczom?

- Podejrzewam, że utworzą wokół szkoły żywy łańcuch. Idę dopiero teraz, bo nie chciałbym niepotrzebnie narażać mojego reumatyzmu na podmuchy zimnego wiatru. Weź ze sobą trochę kawy. Tam nie będzie za ciepło.

Grupka, która zebrała się na szkolnym dziedzińcu, nie była tak imponująca jak tłum na przyjęciu w Palace Grande, ale Cole Dennison nie mógł zlekceważyć takiej demonstracji.

Młoda właścicielka sklepu z koronkami dłonią osłaniała od wiatru zapaloną świecę.

- Zawsze marzyłam, że powstaną tu apartamenty mieszkalne, a ja udzielę rabatu na zakup koronkowych firanek.

- Nigdy nie byłam za szkołą - powiedziała właścicielka sklepu z kutym żelazem - ale Rod mnie przekonał. Lepszy pusty budynek niż kupa gruzu. Czy dowiedziałaś się czegoś, Heather?

- Spychacze ruszą z samego rana.

Heather spostrzegła Roda i przytuliła go do siebie, omal nie rozlewając przy tym kawy pana Maxnera.

- Czy wpadłeś na pomysł, żeby zawiadomić telewizję?

- Myślisz, że przyjadą? - pisnął z podniecenia.

- Oczywiście, jeśli tylko wymienisz nazwisko Cole'a Dennisona. Możesz zadzwonić ode mnie z domu. Tylko pospiesz się, już prawie świta.

Intuicja jej nie zawiodła. Gdy tylko na horyzoncie błysnęły pierwsze promienie słońca, nadjechał dźwig z kulą. W chwilę potem przybyli operatorzy spychaczy, którzy widząc oczekujący ich komitet powitalny nie wiedzieli, co począć. Heather poradziła im, by zadzwonili do szefa i uprzejmie wskazała drogę do najbliższej budki telefonicznej.

Nie minęło nawet pół godziny, kiedy pojawiła się ekipa telewizyjna i zaczęła rozstawiać kamery po przeciwnej stronie ulicy. Zanim dziennikarze zdążyli zmontować część przekąźnika, ciszę poranka zmaćcił głośny ryk śmigłowca. Srebrno-czerwony ptak zataczał koła nad budynkiem szkoły.

Mogłam się tego spodziewać, pomyślała Heather. Cole Dennison nie będzie tracił cennego czasu na jazdę samochodem.

Śmigłowiec wylądował na dziedzińcu pomiędzy dźwigiem a spychaczami. Rotory wzbity potężny obłok kurzu, co zmusiło demonstrantów do ucieczki pod główne wejście do budynku, gdzie balustrada schodów chroniła ich nieco przed naporem powietrza i pyłem.

Heather przysiadła na ostatnim stopniu. Gdy zobaczyła Cole'a Dennisona, jak pochylony wysiadł z maszyny, poczuła, że coś ściska ją w środku.

Dennison wyszedł z zasięgu rotorów, wyprostował się i rozejrzał po tłumie zgromadzonym na schodach. Wiedziała, kogo wypatruje i zorientowała się, że natychmiast ją dostrzegł, bo pokiwał głową i ruszył w stronę wejścia. Szedł w rozpiętym płaszcz, z rękoma w kieszeniach, zupełnie jakby nie czuł zimna.

Heather była przemarznięta. Dłonie trzymała splecione wokół kubka, który dostała od pana Maxnera. Kawa wystygła już dawno, ale ten gest dawał jej złudzenie ciepła. Poza tym nie było widać, że drżą jej palce.

Wraz z Cole'em Dennisonem przyleciało dwóch mężczyzn. Jeden z nich stanął u stóp schodów, rozłożył ręce i zawołał:

- Kto jest przywódcą? Mniejsza z tym. Wszyscy jesteście oskarżeni o naruszenie prawa i jeśli dobrowolnie się stąd nie wyniesiecie, zostaniecie aresztowani.

- Joe - odezwał się na to Cole Dennison - nie rób z siebie durnia. W końcu to są porządni obywatele, a nie żadni przestępcy. Zapewniam cię, że nie wyrządzili tu najmniejszej szkody.

Powoli, majestatycznie zaczął wstępować na schody. Tłum rozstał się przed nim. Cole zatrzymał się tuż poniżej Heather, jedną nogę postawił na następnym stopniu, swobodnym gestem oparł dłoń o kolano i popatrzył jej w oczy.

- Mam racje, panno DeMarco?

- Witam, panie Dennison - odparła spokojnie.

- Cieszę się, że przybył pan w końcu obejrzeć budynek.

- Och, Heather, Heather - pokręcił głową Cole.

- Pikieta! Rozczarowujesz mnie, spodziewałem się po tobie czegoś bardziej oryginalnego.

- Chcemy ratować szkołę, chcemy ratować szkołę - zaczął skandować Rod.

Dennison spojrział na niego. Rod umilkł.

- Czy to był twój pomysł, młodzieńcze?

- Heather prosiła mnie o pomoc, więc...

- Powinienem się tego domyśleć. Czy wszyscy mężczyźni głupieją przy tobie, Heather?

Ton, jakim Cole wypowiedział te słowa, nie przypadł jej do gustu.

- Panie Dennison, nikt nie zdołałby zorganizować takiej demonstracji bez poparcia sąsiadów. Jak pan widzi, Archer's Junction przestało być odrębnym miastem, ale to nie znaczy, że ma zostać zdegradowane do roli pozbawionego wyrazu przedmieścia. Ten gmach stanowi ważny symbol naszej tożsamości.

Wokół rozległ się szmer aprobaty.

- Przez pięć lat walczyliśmy o ponowne otwarcie szkoły - powiedziała głośno Heather. -

Przegraliśmy. Jednak nadal mamy unikalny budynek i nie zamierzamy pozwolić, by zniszczył go jakiś bogacz. Zdaniem architektów jest to...

- Rudera - wtrącił Cole.

- Styl neoromański - warknęła Heather. - Z domieszką gotyku.

- Mniejsza o nazwę stylu - zwrócił się do zgromadzonych Cole. - Nie zamierzam dalej dyskutować w tych warunkach. Mam dwa wyjścia do wyboru. Albo wezwę władze do usunięcia

was siłą z terenu mojej posiadłości, albo wyznaczycie przedstawiciela, z którym podczas rozmowy w cztery oczy spróbuję dojść do porozumienia. Proponowałbym waszego miejscowego eksperta.

Parę osób skinęło głowami.

- No i co ty na to, Heather? Myślę, że łatwiej dogadamy się bez obecności kamer telewizyjnych.

- No, nie wiem - odparła, usiłując rozprostować zeszywniałe palce obejmujące kubek. -

Wolałabym zostać tutaj.

- Heather, kochanie.

Zauważyła, że znów uśmiechał się jak tygrys.

- Dlaczego uparcie nazywasz mnie panem Dennisonem, skoro twierdzisz, że jestem ojcem twego dziecka? - spytał wystarczająco głośno, by usłyszała to co najmniej połowa zebranych.

Heather jęknęła. Ludzie byli zaszokowani.

- Drogi Cole, chyba nie zamierzasz użyć tego jako podstępu i przystąpić do wyburzania? - odezwała się słodkim głosem.

- Oczywiście, że nie!

- Słowo honoru?

- Mam lepsze rozwiązanie - uśmiechnął się Dennison. - Zostawię zakładnika. Joe, siadaj na najwyższym stopniu i czekaj na mnie. Nie daj się rozjechać spychaczom. Czy teraz, kiedy poświęciłem mojego zastępcę, jesteś skłonna mi wreszcie uwierzyć, Heather? - zapytał, pomagając jej wstać.

- Tylko pod tym warunkiem.

Kiedy schodzili ze wzgórza, zeszywniałe od chłodu kolana odmawiały jej posłuszeństwa, ale Cole mocno trzymał ją pod rękę.

- Musi tu być jakieś miejsce, gdzie rozgrzałabyś się filiżanką gorącej kawy.

Tak, cukiernia, pomyślała Heather. Wiedziała, że jest już otwarta, bo Katherine widząc, co się dzieje na szkolnym dziedzińcu, poszła przygotować kawę dla zebranych.

Tylko że Heather nie chciała iść z Cole'em do cukierni. Co więcej, nie chciała, żeby dowiedział się, że jest jej współwłaścicielką i że tam pracuje. Wolała utrzymać go w przeświadczeniu, że jest dyplomowanym historykiem sztuki. Dzięki temu traktował ją poważnie. Wyobraziła sobie, co stałoby się, gdyby dowiedział się, że jest specjalistką od kruchych ciasteczek. Najpierw roześmiałby się, a potem osobiście pokierował spychaczem.

- Tu nie ma żadnych restauracji. Same sklepy z antykami. Mieszkańcy dużym nakładem energii, czasu i pieniędzy przywrócili tej okolicy wygląd z przełomu stuleci. Szklany gmach w stylu Dennison Tower zupełnie by tu nie pasował.

- Nigdy nie twierdziłem, że zamierzam wznieść tu coś takiego - zjeżył się Cole.

Doszli do drzwi cukierni.

- Wezmę kawę - improwizowała Heather - ale wolałabym porozmawiać gdzieś w ustronnym miejscu. Tam za rogiem wiatr nie będzie nam dokuczał.

- Jeżeli chcesz zamarznąć na kość, to nie mam nic przeciwko temu - wzruszył ramionami Cole. - Wolałbym jednak nie spuszczać cię z oka.

Pchnął drzwi i weszli do środka.

- Przygotowałam już kawę, Heather - przywitała ją matka - ale nikt jeszcze po nią nie przyszedł.

- Dziękuję, to już zbyteczne. Pikieta skończona. Daj nam tylko po filiżance i do tego trochę chrupka w polewie czekoladowej. - Sięgnęła do kieszeni dzinsów i uśmiechnęła się znacząco do matki licząc na to, że ta zorientuje się w sytuacji. - Zapłacę za wszystko po południu.

- Co się z tobą dzieje, Heather? - zdziwiła się Katherine. - Zupełnie cię nie rozumiem...

- Wydaje mi się, że nikt jej nie rozumie, droga pani - wtrącił Cole. Wyjął z kieszeni banknot dziesięciodolarowy. - Ja płacę. I poproszę trochę tych ciasteczek - dodał, wskazując na inną tackę.

- Owsiane z rodzynkami? - zdziwiła się Heather. - Myślałam, że wybierzesz raczej te czekoladowe. Ale te też są niezłe. Już ich próbowałam.

Katherine rzuciła córce porozumiewawcze spojrzenie i bez słowa wydała resztę.

Heather wzięła kubki z kawą i ruszyła w stronę wyjścia.

- Większość mężczyzn lubi czekoladę - stwierdziła.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, odetchnęła z ulgą. Zaprowadziła Cole'a na mały skwerek za sklepem ze szklę. Stało tam parę ławek i statuetek. Zieleń dopiero budziła się do życia. Słabe słońce ogrzało jednak nieco ten zakątek. Przysiedli na ławeczce. Heather pociągnęła łyk kawy.

Gorący płyn parzył ją w przełyku. Zakrztusiła się.

Cole złapał jej kubeczek, nim zdążyła oblać go kawą i przytrzymał go do chwili, gdy dziewczyna znów zaczęła normalnie oddychać.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Od czego zaczniemy negocjacje?

- Wcale nie zaczniemy - odparł Cole. - Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy się układać.

Heather wyciągnęła ciasteczko z torebki.

-To jest mój budynek, Heather, i mogę z nim zrobić, co tylko zechcę. Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia. Sprawdziłem, że nie figuruje na żadnej liście zabytków.

Heather zjadła kawałek ciasteczka.

- Skoro nie będzie żadnych układów, to co my tu robimy?

- Czekamy, aż opadnie podniecenie wokół sprawy szkoły i ekipa telewizyjna odjedzie. Nie lubię działać pod przymusem. To byłby zły przykład dla moich pracowników. A potem wrócimy na wzgórze.

Heather w milczeniu gryzła ciasteczko. Krył się w tym jakiś podstęp, była tego pewna.

- Obejrzyj szkołę?

- Zamierzam zwiedzić każde pomieszczenie - powiedział ponuro. - Ty pójdziesz razem ze mną i kiedy już skończymy, nie chcę nic więcej słyszeć na temat...

- Świetnie - przerwała mu Heather. - Chodziło mi jedynie o to, żebyś zrozumiał, co chcesz zrobić, żebyś pojął wreszcie, ile tracisz, upierając się przy burzeniu szkoły.

Po raz pierwszy zabrakło mu słów.

- Nie jestem taka głupia - dodała - i wiem, że nie można zmusić cię prawnie do zachowania szkoły.

-I dlatego wybrałaś nieetyczne, niemoralne i nielegalne metody działania.

- Krzywdzisz mnie.

- Wprost przeciwnie. To raczej komplement. Masz wyjątkowe uzdolnienia do tych spraw.

- Chodzi ci o wczorajszy wieczór? - spytała, mnąc w palcach czekoladowe chrupki. - Nie zrobiłam tego celowo. Po prostu tak wyszło.

- Chyba nie zastanowiłaś się nad wynikającymi z tego konsekwencjami - westchnął Cole.

- A oświadczenie przed kamerami na temat mojej fikcyjnej ciąży? Tego się nie spodziewałam.

Myślę, że po dokładnym obejrzeniu szkoły, panie Den... - spostrzegła lekkie skrzywienie jego ust i poprawiła się szybko - Cole. Czy ten obraz w twoim biurze, to Monet?

- Co ma do tego mój gust? - zdziwił się.

- Całe twoje biuro jest ładne i chociaż nie jestem miłośniczką drapaczy chmur, to Dennison Tower prezentuje się całkiem nieźle. Jako miłośnik piękna, nie będziesz chciał zniszczyć tak wspaniałego budynku, jakim jest szkoła.

- Może jednak będę. Nasze kryteria dotyczące piękna mogą się bardzo różnić.

- Cóż, wtedy okaże się, że przegrałam.

- Czy wtedy odwołasz swoją armię, pozwolisz mi wrócić do swoich zajęć, a ekipie rozbiórkowej dasz spokojnie pracować?

- Nie to mi obiecywałeś - zaprotestowała Heather.

- Owszem, obejrzę gmach, ale nie oczekuj zbyt wiele. Utrzymywanie robotników w bezczynności kosztuje mnóstwo pieniędzy.

- Na to cię jeszcze stać. Powiedz lepiej, co cię naprawdę gnębi.

Cole popatrzył na zegarek.

- Chyba siedzimy tu wystarczająco długo, żeby ludzie z telewizji znudzili się i odjechali. Z pewnością nie chodzi mu o mnie, pomyślała Heather. Czymś się jednak wyraźnie martwi. Na pewno nie pieniędzmi, tylko że... nie chce o tym mówić.

Miała jednak poważniejsze sprawy na głowie.

- Archer's Junction przyciąga wielu klientów - mówiła, gdy szli pod górę. - Zwłaszcza podczas weekendów, kiedy ściągają tu łowcy pamiątek z całego stanu. Ta okolica jest wyjątkowa pod tym względem.

- Doceniam oczywiście zalety turystyki, panno DeMarco, ale...

Ujął ją za rękę. Dotyk jego dłoni elektryzował Heather nawet przez grubą wełnianą rękawiczkę. Zastanawiała się, czy Cole czuje to samo. Chyba nie. Wyglądało na to, że był to tylko machinalny gest z jego strony.

- Chciałam jedynie podkreślić, że w szkole można by ulokować co najmniej pięćdziesiąt sklepów z antykami. Albo choćby apartamenty mieszkalne, biura, może nawet hotel.

- Masz coraz śmielsze pomysły - powiedział, zatrzymując się na skraju dziedzińca, by ogarnąć spojrzeniem gmach. - Nie przyszło ci do głowy więzienie o zastrzonym rygorze? Bardzo by tu pasowało.

- Już wiem - mruknęła. - Muzeum Cole'a Dennisona. Mógłbyś zgromadzić tu wszystkie zabawki z dzieciństwa i inne pamiątki, wzbogacając miasto o pomnik wielkiego obywatela.

- Dzieciaku - powiedział Cole i puścił jej rękę. Joe Hanford wręczył mu latarkę. Otworzył jedno skrzydło frontowych drzwi i wszedł do środka.

- Idę pierwszy, bo jestem dżentelmenem - rzucił przez ramię. - Nie chciałbym, żebyś wpadła do jakiejś dziury w podłodze.

Przez opuszczony gmach ruszyła dziwna procesja. Najpierw Cole, za nim Hanford, a na końcu Heather.

Chciała pokazać mu szkołę taką, jaką zapamiętała. Tętniącą życiem, pełną uczniów, rozświetloną wpadającym przez olbrzymie okna słońcem. Teraz jednak sale były brudne i ciemne, a w powietrzu unosił się kwaśny zapach dymu po pożarze. Mimo że ogień podłożony w magazynku nad salą gimnastyczną został szybko zlokalizowany i ugaszony, odór spalenizny przeniknął do każdego pomieszczenia. Woda, którą strażacy wpompowali do magazynku, spłynęła do sali gimnastycznej, tworząc na parkiecie olbrzymie kałuże. Taki był koniec najlepszej hali sportowej w tej części miasta.

Cole z niesmakiem zmarszczył nos i bez komentarza zawrócił do głównej części gmachu. Ruszył wypolerowanymi przez całe pokolenia uczniów kamiennymi schodami w górę.

Heather była zdumiona rozmiarami zniszczeń, jakie spowodował niewielki w końcu pożar i odrobina wody. Musiała jednak przyznać, że niezależnie od tego, co o tym myślał, Cole Dennison oglądał wszystko dokładnie. Miała jedynie nadzieję, że szkoła rzuci na niego ten sam magiczny urok, któremu ona już dawno uległa.

Cole znalazł wejście na wieżę i wspiął się szybko po schodkach. Odrzucił klapę.

- Idziesz, Heather?

A niech to, pomyślała. Musiał przypomnieć sobie o mnie akurat wchodząc na wieżę!

- Nie, dziękuję - odparła. - Ufam, że uczciwie ocenisz stan wieży.

- Tracisz wspaniały widok. Tu jest nawet maszt flagowy.

- Wierzę ci na słowo.

Wiedziała, że jeśli wspięłaby się na górę, zdjęłaby ją stamtąd jedynie straż pożarna, niczym wystraszoną kotkę z wysokiego drzewa.

Schody zatrzeszczały i Cole zszedł z powrotem.

- Nadaje się jedynie na więzienie. Budka strażnicza już jest.

Wyszli przed front budynku. Joe Hanford pieczołowicie zamknął drzwi. Na dziedzińcu czekał śmigłowiec. Robotnicy grali tymczasem w karty. Heather zaczerpnęła powietrza i odetchnęła z ulgą.

- Prawda, że od razu lepiej? - złośliwie spytał Cole.

- Wcale nie - parsknęła, rozśmieszając go. - No dobrze, przyznaję, nie były to perfumy. Ale gdyby usunąć dyktę z okien, wszystko dałoby się wywietrzyć.

Nie odpowiedział.

- No więc jak? - nalegała.

- Spodziewałem się czegoś innego.

- To unikalny budynek. Bardzo solidny.

- Wciąż nie jestem przekonany, czy warto w niego inwestować.

- Powstrzymaj się jeszcze przez parę tygodni, dobrze? Może przez ten czas zmienisz zdanie - powiedziała, gładząc go po ramieniu.

- Joe, powiedz tym facetom, żeby na razie niczego nie burzyli.

Heather nie mogła się powstrzymać. Pisnęła radośnie, klasnęła w dłonie i zaczęła podskakiwać. Cole uniósł brwi ze zdziwienia.

-Tylko przez dzień lub dwa - dodał. - Niech jeszcze nie zabierają sprzętu. - Odwrócił się w stronę Heather i położył jej dłonie na ramionach. - Jedynie do przyszłego tygodnia. Przemyślę to raz jeszcze. Jeśli dojdę do jakichś wniosków, możemy się potargować.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Heather patrzyła, jak śmigłowiec startuje, kołysze się i znika za koronami drzew. Mogła sobie pogratulować. Udało się! Gdyby Cole Dennison w dalszym ciągu chciał zburzyć szkołę, nie krępowałby się jej obecnością...

Skąd ta pewność? Przecież go prawie nie znam. A może tylko zwodzi mnie i czeka, aż stąd odejdę?

Nie, nie postąpiłby w ten sposób.

Takie właśnie myśli przychodziły jej do głowy, kiedy wróciła do domu i wzięła prysznic, by zmyć z siebie zapach dymu i stęchlizny.

Otwierała właśnie cukiernię, gdy ujrzała przechodzącego drugą stroną ulicy kapitana straży pożarnej. Nie wstąpił do środka, jak tego oczekiwała, pomachał jej tylko ręką i poszedł dalej. Wyglądał na zakłopotanego.

To wszystko przez te plotki na temat jej ciąży, wywołane oświadczeniem Cole'a Dennisona. Nie miała żalu do mieszkańców Archer's Junction, ale zrobiło się jej przykro. Nie będzie miała okazji poznać bliżej tego miłego młodego strażaka.

Niewielka strata, pocieszyła się. Gdyby ten chłopak rzeczywiście się tobą interesował, sprawdziłby pogłoski o dziecku, zamiast wierzyć plotkom.

Przeszła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem nowego rodzaju ciasta.

Matka obserwowała ją w milczeniu. Wreszcie odezwała się.

- Jak skończyła się dyskusja z Dennisonem?

- Co? Ach tak, wszystko będzie dobrze - odparła Heather, biorąc świeży fartuszek i czepek.

- Ulżyło mi - rzekła z przekąsem Katherine. - Czy byłabyś jednak uprzejma wytłumaczyć mi, co kryje się pod słowem wszystko?

Heather nie słuchała jej.

- Możesz teraz przygotować się do wyjścia na brydża. Nie chcesz chyba z tego zrezygnować?

- Brydż jest niczym w porównaniu z radosną nowiną, którą usłyszałam dziś rano - wypaliła z ironią Katherine. - Heather Lynne DeMarco, czy przysiądziesz choć na chwilę, żeby wyjaśnić, czemu nie przedstawiłaś mi tego młodzieńca? I dlaczego utwierdziłaś go w przekonaniu, że podczas gdy ja pracuję w ciastkarni, ty nie masz z tym nic wspólnego?

Heather wyciągnęła z gablotki nieco przypalone ciasteczko migdałowe.

-Widzisz, droga mamo, po prostu nie mogłam wyznać mu prawdy. Gdyby wiedział, że żyję z wypieku ciasteczek i nie jestem ekspertem od zabytkowych budynków, to... - Nagle doszła do wniosku, że matka nie dopatrzy się w tym niczego śmiesznego. - To zbyt zawile, żebym ci mogła wyjaśnić.

- Postaraj się - powiedziała spokojnie Katherine. Heather nagle zeszywniała. Matka nie rozmawiała z nią w ten sposób od lat.

- Co cię gryzie, mamo? Nie wypytywałaś mnie nigdy o mężczyzn, odkąd skończyłam dwadzieścia jeden lat i wyprowadziłam się. O Boże! - zrozumiała nagle. - Musiałaś usłyszeć od kogoś tę idiotyczną plotkę o dziecku!

- Przynajmniej od dwunastu osób. Heather, co się na miłość boską...

- Naprawdę nic, mamo. Nie ma żadnego dziecka. Mamo, nie chcesz chyba wysłuchać tej całej historii...

- Spróbuję.

Heather cmoknęła matkę w policzek.

- Idź już na tego brydża - powiedziała. Zadzwoił telefon. Heather podniosła słuchawkę.

- Cukiernia. Czym mogę służyć?

- Szukam Heather DeMarco. Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie mogę ją zastać?

Lekko zachrypnięty głos, płynący ze słuchawki, zelektryzował ją. Było to tak, jakby przez układ nerwowy Heather przepłynął prąd o niskim napięciu. Oczekiwała telefonu od Cole'a dopiero w przyszłym tygodniu. Widocznie już podjął decyzję i nie ma dla niej dobrych wieści.

- Słucham.

- To ty? - spytał zdumiony, po chwili milczenia. -Tak... czasami tu pracuję.

- Wreszcie powiedziała coś w miarę prawdziwego - mruknęła Katherine. - To pewnie on?

Heather skinęła głową.

- Pomagasz matce? - dopytywał się Cole.

- Skąd wiesz, że to moja matka?

- Ze względu na uderzające podobieństwo. Czemu mi jej nie przedstawiłaś?

Heather zrobiła wielkie oczy.

- Żebyś jej powiedział o dziecku? Uwielbiasz to... Katherine przestała rozwiązywać fartuszek.

- Powiedziałaś, że nie ma żadnego dziecka!

- Przecież nie ma żadnego dziecka - powiedziała do słuchawki, odwracając się tyłem do matki.

- Mniejsza z tym - rzekł Cole. - Dzwonię, żeby zaprosić cię jutro na kolację. Jestem gotów do rozmów. Czas to pieniądz, a dźwig z burzącą kulą nie może czekać w nieskończoność na decyzję.

Heather przycisnęła słuchawkę ramieniem do ucha i zaczęła przewracać ciasteczka w gablocie.

- W porządku. Może być kolacja.

- Świetnie. Wpadnę po ciebie o siódmej. Czy mogłabyś włożyć tę małą czarną sukienkę?

- Wykluczone. Twoi goryle posiniaczyli mi całe ramiona. Cholera - powiedziała, słysząc jak matka krzyknęła ze zdenerwowania. - Mamo, to było drobne nieporozumienie.

- Jak udało się jej przetrwać okres twego dzieciństwa? - spytał zaciekawiony Cole. - Musiała wpadać w panikę, kiedy szłaś się bawić do piaskownicy.

- Bez problemów. Byłam wyjątkowo opanowaną osobą, dopóki cię nie spotkałam. I jeszcze jedno, Cole. Jeśli chcesz przylecieć po mnie śmigłowcem, to daruj sobie.

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł rozbawionym tonem. - Trudno zapuścić się nim w alejkę zakochanych. Niestety, większość dziewcząt nie bierze tego pod uwagę. Jesteś wyjątkowa.

- Mam podać adres? - spytała sztywno.

- Nie potrzeba. Wystarczy, że zauważę jakieś zamieszanie. Na pewno będziesz w jego centrum. Do jutra.

Heather odłożyła słuchawkę i odwróciła się w stronę matki, spodziewając się gradu pytań. Mimo że skończyła już dwadzieścia sześć lat, ta nadal traktowała ją jak dziecko.

Katherine zacisnęła powieki.

- Masz rację - wycedziła przez zęby. - Wcale nie chcę o tym słuchać. Wolę już pójść na brydża, to poprawi mi humor.

Heather również mogłaby pójść do domu, ale na swoje nieszczęście została w cukierni przez resztę popołudnia. Najpierw zapomniała włączyć zegar i spaliła obiecane Rodowi ciasteczka. Potem pomyliła sól z proszkiem do pieczenia.

Wciąż myślała o niespodziewanym telefonie od Cole'a. Dlaczego zaprosił ją na kolację? Przecież zwyczajowo interesy omawia się podczas lunchu. Dlaczego chciał, żeby włożyła tamtą sukienkę? Wprawdzie gapił się na nią wówczas z przyjemnością, ale co to ma wspólnego z interesami? No, a ta uwaga o alejce zakochanych? Czy miała na celu wytrącenie jej z równowagi, czy też - zgodnie z teorią czynności omyłkowych Freuda - odsłaniała jego prawdziwe zamiary?

Do tych wszystkich pytań pasowała jedna odpowiedź. Cole chce postawić jej szczególne warunki umowy. Będzie chodziło o nią samą.

Nie, pomyślała z niepokojem. Dziś już się takich rzeczy nie robi. Byłoby to nieetyczne, niemoralne i nielegalne. Sam tak określił jej metody postępowania, czyżby więc teraz Cole chciał odwrócić sytuację? Może to ma coś wspólnego z jej wystąpieniem na sali balowej?

Mniejsza z tym. Myśl, że Cole Dennison mógłby jej zaproponować ocalenie szkoły w zamian za pójście z nim do łóżka nie mieściła się jej w głowie.

Początkowo miała zamiar ubrać cię w coś wyjątkowo znoszonego i niemodnego, ale rozmyśliła się, nie chcąc wprawiać Cole'a w zakłopotanie. Może zaprosił ją na obiad, ponieważ jest zajęty w

ciągu dnia, a o czarnej sukience wspomniał dlatego, że chce ją zabrać do eleganckiego lokalu i nie ma w tym żadnego erotycznego podtekstu?

W każdym razie nie zaszkodzi okazać odrobinę godności, pomyślała. Cole zapewne spodziewa się, że zachowam się, jak przystało na damę.

Po krótkim wahaniu wybrała w eleganckim butik, znajdującym się na końcu ulicy, zwiewną kreację w kolorze przejrzałej brzoskwini. Głęboki, wycięty w szpic dekolot odsłaniał wprawdzie ramiona, lecz bufiaste rękawy zasłaniały siniaki na rękach. Od wąskiej talii suknia spływała w dół na kształt krynoliny.

Cole, który przyjechał punktualnie o siódmej, stwierdził, że wygląda w niej jak leśny duszek i dodał, iż brak jej tylko anielskich skrzydeł. Heather wiedziała, że nie powinna mu wierzyć, jednak uprzejmie podziękowała za komplement. Cole podał jej płaszcz, trzymając go delikatnie, tak jakby było to przynajmniej futro z norek, a nie zwyczajny wiosenny prochowiec. Niestety, już sama sukienka nadszarpnęła poważnie budżet Heather.

A jednak było warto, pomyślała. Łatwiej mi będzie pertraktować z nim wiedząc, że wyglądam atrakcyjnie. Niezależnie od tego, co powiedział Cole, sukienka spodobała mu się, widzę to po jego oczach.

Przed domem stał wielki mercedes z oczekującym na nich przed drzwiami szoferem w liberii.

- Imponujące - powiedziała Heather, zapadając się w głębokie skórzane siedzenie. - Czy wypożyczyłeś go z hotelu?

- To mój samochód. Nie korzystam z niego zbyt często i Jason czuje się nieco zaniedbany.

Przyjechałem dziś tym autem głównie ze względu na niego. Nie myśl, że chciałem ci w ten sposób zaimponować.

Limuzyna zawiozła ich przed Palace Grande Hotel. Portier rzucił się, by otworzyć im drzwi.

Cole pomógł jej wysiąść z samochodu, przytrzymując ją delikatnie, jakby była kruchym kryształem. Po wejściu do hotelu strzelił palcami na szatniarza i odesłał jej płaszcz do garderoby.

- Myślę, że spodoba ci się tutaj - powiedział. - Nowy szef kuchni ma wyjątkowy talent do sosów, a jego desery...

Heather nie słuchała go wcale. Przerażonym wzrokiem wpatrywała się w drzwi windy. Cole zaprosił ją do restauracji znajdującej się na najwyższym piętrze.

To nic strasznego, powtarzała sobie w duchu i kurczowo wczepiła się w mosiężną poręcz niewielkiej windy, zbudowanej w stylu art deco. Hotel nie jest wcale taki wysoki. Pamiętaj tylko, że masz równomiernie, głęboko oddychać i usiąść tyłem do okna...

Nie zdążyła się jednak odpowiednio nastawić psychicznie. Drzwi zamknęły się i winda z cichym gwizdem pomknęła w górę.

Heather jęknęła w duchu.

- Czyż to nie wspaniały widok? - mruknął Cole. Heather krzyknęła z przerażenia. To, co brała za przydymione lustro na ścianach, okazało się szybami, przez które rozciągał się widok na całe miasto, a ziemia w zawrotnym tempie umykała jej spod stóp.

- Mam lęk wysokości - wykrztusiła.

- Jak to? - zdziwił się Cole. - Przecież byłeś u mnie w biurze.

- Przygotowałam się do tego. No i tam nie było tych... okien.

Zacisnęła mocno powieki, ale było już za późno. Szalę przeważało jedno krótkie spojrzenie na zewnątrz.

- O mój Boże. - Cole przycisnął ją mocno do siebie. - Musimy wjechać na samą górę, Heather. Ta cholerna winda ma tylko dwa przystanki. Nie patrz.

- Nie patrzę - jęknęła. - Ale to nic nie pomaga, ponieważ nie mogę przestać o tym myśleć...

Cole zamknął jej usta gwałtownym pocałunkiem. Heather ze zdumienia na moment otworzyła oczy.

Czy ten człowiek nie ma sumienia? Korzystając ze stanu, w jakim się znalazła, dobiera się do niej! Zasługuje wyłącznie na kopniaka!

Ale po chwili wargi Cole'a zaczęły delikatnie pieścić jej usta, doprowadzając dziewczynę, tak jak przy poprzednim pocałunku, do stanu oszołomienia. Kiedy winda dotarła na samą górę, nie myślała już o tym, by go kopnąć. Wspięła się na palce i przywarła do niego, zanurzając dłonie w gęstwinę włosów Cole'a. Minęło pięć sekund, nim Heather zdała sobie sprawę, że drzwi windy rozsunęły się. Cole przerwał pocałunek.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała Heather.

- Ponieważ był to jedyny sposób, żeby odwrócić twoją uwagę od windy - odparł Cole. Nadal trzymał ją w ramionach, jakby bojąc się, że inaczej dziewczyna upadnie.

- Ach, rozumiem.

- Świetnie sobie radzisz, Cole - odezwała się czekająca na windę blondynka w sukni z czerwonego szyfonu. - A teraz może pozwolisz innym skorzystać z windy?

Heather obejrzała się gwałtownie. W małym korytarzyku stało zaledwie kilkanaście osób, jednak przerażenie niezręczną sytuacją sprawiło, że jawił jej się cały tłum gapiów. Blondynka była jedną z grupy kobiet, pomiędzy którymi skryła się Heather wchodząc na przyjęcie. Teraz spoglądała znacząco na jej talię, którą nadal obejmował Cole.

- Niczego nie dostrzegłeś, Ashley? - spytał oziębło.

- No cóż, obawiam się, że to musi jeszcze trochę potrwać.

Siłą wyciągnął Heather z windy.

- Czy musiałeś zachować się jak szczęśliwy ojciec? - warknęła, gdy tylko odzyskała głos.

- A co mi pozostało? - spytał, wzruszając ramionami. - Czekać, aż dostaniesz ataku hysterii?

Skoro Ashley zobaczyła, jak się całujemy, za późno na wyjaśnienia. To jeden z gatunków tych damskich piranii, które tylko czyhają, by rozpuszczać plotki.

- Sprawa ucichnie sama, jeśli nie będziesz jej podsycał.

- Czujesz się już lepiej?

- Dziękuję, trochę mi przeszło. - Po wyjściu z windy Heather odzyskała nieco równowagę psychiczną. Rozejrzała się ostrożnie wokół. Widok przeszklonych ścian restauracji, do której przeszli z małego holu, nie wzbudzał w niej zaufania. W dodatku stoliki zostały ustawione tak, żeby klienci mogli oglądać panoramę miasta.

- Coś chyba nie za bardzo - zauważył Cole. Przywołał kelnera, który wpatrywał się w nich ze zdziwieniem.

- Rusz się i podaj pani brandy.

- Nie chcę żadnej brandy - zaprotestowała Heather. - Chcę znaleźć się gdzieś poniżej dziesiątego piętra. Zaprowadź mnie do schodów.

- Tu jest wewnętrzna winda. Chyba że z tym również masz kłopoty.

- Normalna winda mnie nie przeraża, pod warunkiem, że jestem przygotowana psychicznie.

- Czy poniżej poziomu dziesiątego piętra czujesz się dobrze?

- O ile nie ma tam żadnych balkonów. Ale najgorsze są nieprzewidziane sytuacje. Wiem, że to głupie...

- Wcale nie. Tylko trochę niezwykle.

- Powiedzmy, kłopotliwe. W dodatku nie ma to żadnego sensownego wytłumaczenia. Nie spadłam z urwiska w dzieciństwie ani nie przeżyłam trzęsienia ziemi w wieżowcu.

Kelner nadal czekał, nie wiedząc, co ma robić. Cole przywołał go ponownie.

- Skreśl brandy i powiedz szefowi kuchni, żeby przysłał na dół nakrycia i łososia z Alaski.

- Na dół? - spytała podejrzliwie Heather.

- Poniżej dziesiątego piętra - odparł Cole tonem nie znoszącym dyskusji.

Zawsze to lepsze niż obcowanie ze szklaną ścianą, pomyślała Heather. Ku jej zdziwieniu winda zatrzymała się na szóstym piętrze, gdzie mieściły się pokoje hotelowe.

- Mój apartament - powiedział Cole. - Zresztą będzie się lepiej nadawał do prywatnej rozmowy. Spokojnie, pomyślała. Gdyby chodziło mu o coś więcej niż tylko rozmowę, nie zabierałby cię do restauracji na górze.

W głębi duszy bała się tego bardziej niż wysokości.

Apartament był olbrzymi, większy nawet, niż się spodziewała. Pomimo doskonałego wystroju i zharmonizowanych kolorów, sprawiał wrażenie chłodnego, bezosobowego. Gdyby nie to, że Cole otworzył drzwi wyjętym z kieszeni kluczem, mogłaby przysiąc, że nie różni się od pozostałych pokoi hotelowych.

Może to po prostu garsoniera, w której i tak mieliśmy się w końcu znaleźć, przemknęło jej przez głowę.

- Nie tego się spodziewałaś? - spytał. - Niebawem zakończy się budowa mojego domu, więc nie przywiążę do tego miejsca większego znaczenia. To tylko etap przejściowy.

Heather uspokoiła się nieco.

- Odrobinę brandy?

- Nie na pusty żołądek - odparła, rozglądając się ciekawie wokół. Ciężkie zasłony zakrywały szczelnie wszystkie ciągnące się wzdłuż całej ściany okna. Z wyjątkiem środkowego, przez które widać było sąsiednie domy.

Cole pochwyił jej spojrzenie, szybko podszedł do okna i zasłonił je.

- Czy nic nie można poradzić na ten lęk?

- Oczywiście, że tak - odetchnęła z ulgą. Kolana jeszcze jej lekko drżały, usiadła więc na krześle.

- Gdybyś widział mnie rok czy dwa lata temu, zanim ukończyłam kurs przystosowawczy...

- Powinnaś zażądać od nich zwrotu pieniędzy - rzekł przepatrując zawartość barku, ciągnącego się wzdłuż ściany salonu. - Kropelkę sherry?

- Doskonale. Może wreszcie zaczniemy rozmawiać?

- Jestem gotów - wzruszył ramionami Cole. Jednak nie kwapił się do podjęcia tematu. W końcu Heather zaczęła:

- Rozumiem, że masz już pewne plany odnośnie szkoły i chcesz mnie z nimi zapoznać.

- Czy chcę cię z nimi zapoznać? Usiłując ratować tę przeklętą szkołę, strasznie skomplikowałaś mi życie, Heather DeMarco. I nie mów mi, jak będę się wspaniale czuł. Jeżeli chcę poprawić sobie samopoczucie, mogę pograć w tenisa lub pojechać na Karaiby. A najlepiej by mi zrobiło, gdybym osobiście poprowadził ten dźwig z burzącą kulą!

- Skoro nie chcesz na ten temat dyskutować, to po co ściągnęłaś mnie tutaj?

- Chwileczkę. Jestem gotów do rozmowy - odparł, wręczając jej kieliszek sherry. Sam oparł się o poręcz krzesła, ze szklaneczką whisky w dłoni. - Chciałem ci tylko wyjaśnić, że nie ma żadnych powodów, dla których powinienem ci ustąpić, Heather. Ty wpakowałaś mnie w tę kabałę, więc musisz mnie z niej teraz wyciągnąć.

- Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz. Skoro twoi znajomi myślą, że jestem z tobą w ciąży, to wyłącznie twoja wina.

Cole pokręcił głową.

- To niezupełnie tak. Ludzie pokroju Ashley mogą sobie myśleć, co chcą. Prawda i tak do nich nie przemawia.

- Dlaczego więc twierdzisz, że wpakowałam cię w jakąś kabałę?
Cole wrzucił sobie do szklaneczki kostkę lodu.
- Ponieważ zrujnowałaś moje życie i pozbawiłaś mnie domu.
Heather zmieszła się nieco, wydawało się jej, że Cole nagle zwariował.
- Przysięgam, że nic z tego nie rozumiem.
- Niewiedza nie stanowi żadnego usprawiedliwienia. Zacznę od początku. Widzisz, Heather, w ten czwartek miało się odbyć moje przyjęcie zaręczynowe. I tak było, dopóki nie wyrwałaś się ze swoją wielką nowiną.
Poczuła się, jak uderzona obuchem. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nie wiedziała, czy powinna się rozplakać i zdać na jego łaskę, czy też wybuchnąć histerycznym śmiechem, który ledwo mogła powstrzymać.
A ty myślałaś, że on ma względem ciebie nieczne zamiary. Heather DeMarco, jesteś wyjątkową idiotką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Heather z wrażenia zbyt szybko wypila sherry i łamiącym się głosem spytała:
- Co ma wspólnego mój wybryk na przyjęciu zaręczynowym z twoim domem?
- Jak to ładnie, że usiłujesz mnie przeprosić - mruknął Cole. - Twój głęboki żal poruszył mnie do żywego...
- Jest mi rzeczywiście bardzo przykro. Jeśli jednak chcesz mnie nakłonić, żebym porozmawiała z twoją narzeczoną i wszystko jej wyjaśniła, to nie, dziękuję. Nie uwierzy mi z pewnością, skoro nie ufa ci do tego stopnia, żeby z powodu byle błahostki zrywać zaręczyny.
- Z powodu byle błahostki?
Rozzłościł ją ton głosu, jakim Cole zadał to pytanie, postanowiła więc się odciąć.
- Czy taki drobiazg jak nieślubne dziecko mógł stanąć między nią a twoimi pieniędzmi? Ja z pewnością nie byłabym tak lekkomyślna. Chyba że to nie po raz pierwszy...
Cole wydał z siebie groźny pomruk. Dobrze, że ściska w dłoni szklaneczkę, a nie moją szyję, pomyślała Heather. Ciągnęła jednak dalej:
- A może wie, że masz zwyczaj całować każdą kobietę, która wejdzie do twojego biura. W tej sytuacji wątpliwości byłyby uzasadnione...
- Chyba zauważyłaś, że nie proszę cię wcale o rozmowę z nią - rzekł ponuro. - Pogorszyłabyś tylko sytuację.
- To właśnie miałam na myśli. Pragnę cię jednak zapewnić, że jeżeli nie mam z tobą do czynienia, jestem wyjątkowo trzeźwą i godną zaufania osobą - uśmiechnęła się. - Muszę być chyba na ciebie uczulona, Cole.
Nim zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.
Cole otworzył i kelner wraz z dwoma pomocnikami wtoczyli ogromny wózek. Ustawili go obok okrągłego stolika, zdjęli wielką pokrywę i w milczeniu zaczęli ustawiać nakrycia. Smakowite wonie uświadomiły Heather, że nie zdążyła dziś zjeść lunchu.
Cole odczekał, aż wszystko zostanie przygotowane, wino otwarte i wtedy odprawił obsługę.
- Poradzimy już sobie sami - powiedział. Zamknął drzwi i usadowił Heather przy stole.
Heather zastanawiała się przez ten czas, co działo się po wyrzuceniu jej z przyjęcia. Czy narzeczone Cole'a publicznie odegrała scenę hysterii? A może odmówiła wypicia toastu zaręczynowego? Najprawdopodobniej kłócili się szeptem, z przyklepionym do twarzy uśmiechem na użytek gości. Co za beznadzieja!

- Czy twoja narzeczona - powiedziała nagle - nie miała przypadkiem na sobie złocistej szaty? Myślałam, że jest mężatką. Jak ona się właściwie nazywa?

- Po co ci to? - spytał podejrzliwie Cole.

- W tym dziwnym nakryciu głowy przypominała mi konia cyrkowego - uśmiechnęła się Heather.

- Już wiem! Elizabetta Winchester. Wdowa po Jacku Winchesterze. To wyjaśnia jej strój. Przed ślubem była zdaje się specjalistką od tańca brzucha.

- Modelką - rzekł szorstko Cole.

- O, przepraszam. Rozumiem teraz, czemu nie zależało jej na twoich pieniądzach. Jack Winchester pozostawił nielichy spadek. Czy nie masz dość pieniędzy, Cole, że chciałeś się z nią ożenić? - Przyjrzała mu się uważnie i doszła do wniosku, że należy zmienić temat. - Co to ma wspólnego z twoim domem? Cole dolał jej wina.

- Dom miał być ślubnym prezentem dla Elizabetty. Zajmowała się jego wykończeniem i urządzeniem. Niestety, zachorowała matka Elizabetty i...

- Nie mówisz o niej nigdy Liz? - nie wytrzymała Heather. - Już widzę te wasze wspólne śniadania. Elizabetto, kochanie, podaj mi z łaski swojej grzankę. Elizabetto, serce moje, wróć dziś później z pracy...

- Daj spokój, Heather.

- Ależ proszę, mów dalej - powiedziała, biorąc łyżkę.

- Elizabetta spędziła z matką trzy miesiące na południu Francji, a dom do dziś stoi nie wykończony.

- Przykro mi, ale to już nie moja wina.

- Oczywiście, że nie, ale przecież nie mogę się tam wprowadzić. Po zerwaniu zaręczyn Elizabetta nie zajmie się już domem.

- Nie wiadomo. Pytałeś ją? - zaciekawiała się Heather. - Pytałeś ją?

- Wyjechała wczoraj rano.

To dlatego zaprosił mnie dzisiaj, pomyślała. Gdy tylko dowiedział się ojej wyjeździe...

- Jakaś niespodziewana podróż? - spytała złośliwie.

- Podobno postanowiła odwiedzić niedomagającą babkę.

- Kobiety w jej rodzinie są wyjątkowo podatne na choroby. Ciekawe, czy ona też. - Słyszac jego chrząknięcie, gładko zmieniła temat. - Nie zamierzasz chyba odegrać się na mnie, Cole? Na przykład zburzyć szkołę.

- Ach, prawda, szkoła. Proponuję ci pewien układ. Zajmiesz się wszystkimi szczegółami, tak żebym mógł wprowadzić się do domu, a ja...

- Mam się tym zająć? - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Czemu nie zaangażujesz dekoratora wewnątrz?

- Żeby wszystko wyglądało tak jak tutaj? - Ogarnął spojrzeniem salonik. - Chodzi mi o drobiazgi w rodzaju doboru oświetlenia do łazienki, właściwego rozmieszczenia luster w szafach i tak dalej. Oszałamiałbym przez te wszystkie szczegóły.

- Cole, nawet twoja sekretarka wie więcej o twoich upodobaniach...

- Moja sekretarka jest zbyt zajęta, by uchronić mnie przed wizytami natrętów. Nie mogę jej dodatkowo obciążać. - Odsunął pusty talerz po zupie i nałożył Heather porcję łososia.

- No, a twoi przyjaciele?

- Są po stronie Elizabetty. Oprócz tego chciałbym, żeby dom był gotów przed nadejściem lata. Każde z nich robiłoby to rok, potroiło koszty i jeszcze miałbym wobec nich zobowiązania. Ty się do tego nadajesz najlepiej, Heather. W końcu jesteś fachowcem.

Zupełnie zapomniała, że usiłowała grać taką rolę.

- Cole - jęknęła - nie sądziłam...

- Jeśli będę musiał zająć się domem - powiedział, nie odrywając wzroku od talerza - nie wystarczy mi czasu na problemy związane z odbudową szkoły.

- To szantaż.

- O nie, co najwyżej delikatna presja. Szantaż byłby wtedy, gdybym powiedział, że zburzę szkołę, o ile nie zajmiesz się moim domem - uśmiechnął się do niej i napełnił kieliszki.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru.

- Owszem, masz. Spodziewam się, że podejmiesz rozsądną decyzję. Gdyby jednak przyszło ci do głowy urządzić mój dom na podobieństwo burdelu...

- To nie w moim stylu.

- Zobaczymy. Wszystkie twoje projekty będę zatwierdzał osobiście. Tylko nie zasypuj mnie tysiącami próbek, bo wtedy negocjacje wrócą do punktu wyjściowego.

Heather strzeliła obcasami pod stołem i zasalutowała.

- Rozkaz. Nie mogę się wprost doczekać. To będzie wspaniała zabawa.

- Wszystkie dobre negocjacje powinny się kończyć wzajemnym ustępstwem. Przy okazji, jeśli zapomnisz na chwilę o starych domach, zdobędziesz kolejne doświadczenia. Nauczysz się lubić nowe. No, a ja - dodał - będę miał cię z głowy.

Heather przyglądała mu się przez chwilę w zamyśleniu. Odłożyła widelec.

- Masz rację. A co do wzajemnych ustępstw, nie myślisz chyba, że będę współczuła ci z powodu Elizabetty. Chodzi mi o szkołę. Jeszcze nie powiedziałeś, jakie masz względem niej plany.

- Do cholery, Heather, nic ci nie powiedziałem, bo nie mam jeszcze żadnych planów.

Heather oparła się łokciami o stół i spojrzała na niego.

- Albo zagwarantujesz mi, że budynek pozostanie nie naruszony i zaadaptowany do jakiegoś celu, albo z umowy nic nie będzie. W przeciwnym razie może okazać się, iż kiedy twój dom będzie już gotów, oświadczysz mi, że niestety nie widzisz innego wyjścia, jak tylko wysłać spychacze.

- Uważasz, że byłbym do tego zdolny? - Cole wydawał się wyraźnie dotknięty takim podejrzeniem.

Oczywiście, że nie, pomyślała. Może jestem głupia, ale wierzę, że jesteś dżentelmenem. Nie mogła mu jednak tego powiedzieć.

- Nie będę się w nic pchała na ślepo.

- Dobrze. Masz na to moje słowo.

- Dziękuję, ale wolę otrzymać to na piśmie - powiedziała spokojnie.

- Cholera, Heather...

- Wtedy obejrzę tamten dom i podejmę decyzję.

- Chwileczkę...

- Ty najpierw obejrzałeś szkołę - przypomniała.

- W porządku - westchnął. - Jutro?

- Z samego rana. Po południu pracuję. - Przełknęła ostatni kawałek ryby i dodała: - Robisz to ze względu na nią, prawda?

- Na Elizabetę? - uniósł w zdziwieniu brwi. - Nonsens.

- Oczywiście, że tak. Odrząciła cię publicznie i chcesz teraz udowodnić jej, że zrobiła głupio. Tylko że to nierozsądne. Angażując mnie do wykończenia domu, pogarszasz jedynie sytuację. Lepiej porozmawiaj szczerze z Elizabetta i wszystko jej wytłumacz.

- Nie prosilem cię o radę, jak mam postępować z Elizabetta - odparł spokojnie Cole, studiując kartę dań w poszukiwaniu deseru. - Jakim prawem uważasz się za eksperta w tej dziedzinie? Nie zauważyłem, żebyś była szczęśliwie zakochana.

- Interesują się mną różni mężczyźni - odparła chłodno Heather. - Skąd wiesz, że kogoś nie mam?

- Bo nikt nie zemdlał ani nie rzucił się na mnie z pięściami, kiedy wspomniałem przed szkołą o twoim dziecku.

Heather odsunęła talerz i skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Może akurat go tam nie było.

Cole wzruszył ramionami, wstał i pomógł odsunąć jej krzesło.

- Jeśli już skończyłaś z tym sosem karmelowym...

Brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Cole'a rozwścieczył ją. Miała w swoim życiu paru mężczyzn, a ten zachowuje się tak, jakby nikt nie zwracał na nią uwagi!

- Jesteś wyjątkowo zarozumiała, Cole! A z tego, co słyszę, Elizabetta również.

- Jak to, zarozumiała? - spytał bez większego zainteresowania.

- Ponieważ nigdy nie powiedziałam, że to twoje dziecko, tylko że moje.

Wstała od stołu, ocierając się ramieniem o jego pierś. Cole przesunął się nieznacznie i niespodziewanie Heather znalazła się uwięziona w trójkącie pomiędzy nim, stołem a krzesłem.

- Ależ, kochanie, nigdy bym nie splamił honoru damy zaprzeczeniem - mruknął. - Nawet jeśli okoliczności byłyby trochę niejasne.

Lewą ręką otoczył kibić dziewczyny, a prawą dłonią ujął ją pod brodę. Dzielilo ich zaledwie parę centymetrów i Heather zdawało się, że w tak małej przestrzeni zaczyna brakować jej powietrza. Odczuła nieklamana ulgę, gdy wreszcie Cole zrobił pół kroku do przodu.

Pocałunki w biurze i w windzie przytrafiły się jej niespodziewanie, jednak tym razem Cole nie działał pospiesznie. Przez parę chwil trwał nieruchomo, a Heather utonęła wzrokiem w jego brązowych oczach. Wiedziała już, jakie wrażenie wywierają na niej jego pocałunki i zdawała sobie sprawę, że powinna zapobiec temu, nim zdążą posunąć się jeszcze dalej. Jednak struny głosowe odmówiły jej posłuszeństwa i jej protest ograniczył się do słabego mruknięcia.

Cole pochylił się i pocałował ją. Mimo że była na to przygotowana, długi, powolny pocałunek wywarł na niej wrażenie mocniejsze od poprzednich. Nie była w stanie poruszyć się czy odetchnąć, mogła jedynie przywrzeć mocniej do Cole'a.

- Jak szkoda, że nic nie pamiętam - mruknął drżącym głosem. - A może byś mi przypomniała, jak to było, kiedy kochaliśmy się.

Jeśli zwykły pocałunek jest takim wstrząsającym przeżyciem, to kochać się z nim byłoby najwspanialszą rzeczą na świecie, pomyślała Heather.

- Wiem, o co ci chodzi - odparła, usiłując go odepchnąć. - Nie mam ochoty pójść z tobą do łóżka. I lepiej, żebyś mnie już nie całował.

- Dlaczego? - spytał leniwie. - Przecież nie jesteś na mnie uczulona. Nie widzę żadnych śladów wysypki.

Naparła mocniej i uścisk Cole'a zelżał.

- Nie całuję się z zaręczonymi mężczyznami. Cole zrobił niewinną minkę.

- Ależ, kochanie, ja wcale nie jestem zaręczony. Sama się do tego przyczyniłaś, pamiętasz?

Lepiej usiądźmy i porozmawiajmy.

Poprowadził ją w stronę kanapy. Heather wmawiała sobie, że godzi się na to jedynie z powodu drżących kolan.

Cole usiadł obok niej. Położył rękę na oparciu kanapy, ale nawet nie dotknął Heather. Rozparł się tylko wygodnie i uśmiechał do niej.

Znowu tygrysi uśmiech, pomyślała.

- Pewnie wydaje ci się, że to również stanowi część naszej umowy - powiedziała.

Palce Cole'a zaczęły przesuwac się po jej potarganych podczas pocałunku włosach. Heather nie spodziewała się, że na tak lekki dotyk zareagują komórki nerwowe całego ciała.

- No cóż, nie przedyskutowaliśmy jeszcze szczegółów.

- Owszem, szkoła w zamian za dom. I to wszystko.

- Skoro nalegasz - powiedział Cole. - Ale myślałem, że nie podejmiesz decyzji bez uprzedniego obejrzenia domu.

- To może mi o nim po prostu opowiesz? - zaproponowała nieśmiało.

- Wolałbym, żebyś zwiedziła go jutro bez jakichkolwiek uprzedzeń. - Sięgnął palcami pod włosy i zaczął opuszkami kreślić niewielkie kółka na jej karku.

Heather zeszywniała.

- Pomówmy w takim razie o szkole. O tym, co zamierzasz z nią zrobić.

- Sprawa pozostaje nie rozstrzygnięta do chwili, kiedy zgodzisz się zająć domem.

- Przecież musisz mieć jakiś pomysł. Ja uważam, że najlepsze byłyby mieszkania. Większość pomieszczeń ma prawie pięć metrów wysokości.

- I przeciekający dach.

- To byłyby wspaniałe kawalerki. Nawet dwupoziomowe, z sypialnią na górze - powiedziała i odsunęła się w drugi kąt kanapy. Czowała, że jeszcze chwila, a oszaleje pod wpływem delikatnych dotknięć jego palców. - Masz kawałek papieru? Narysuję ci.

- Pewnie gdzieś jest - odparł, nie kwapiąc się do poszukiwań.

- Mam parę kartek w torebce. - Zerwała się i przeszła na drugą stronę pokoju.

- Skoro już wstałaś, to przypomniailo mi się, że przeczyliśmy kawę. Napiłbym się odrobinę.

- Z cukrem i ze śmietanką? Przepraszam, ale nie zauważyłam wczoraj...

- Bez niczego. Tak prostą kawę, jak moje życie. Heather bez słowa nalala mu kawy, potem wzięła swoją filiżankę i usiadła, tym razem przezornie na fotelu z boku stołu.

Cole przyglądał się jej z rozbawieniem.

Wyjęła z torebki mały notes i zaczęła szkicować.

- Coś w tym rodzaju - powiedziała. - Może niezbyt udolnie oddałam proporcje. To stare laboratorium. Jest duże i pomieści na piętrze dwie sypialnie, razem z łazienką.

Cole spoglądał na nią zamiast na rysunek.

- Skąd się bierze ta twoja fascynacja szkołą? - zapytał. - Dla mnie to jeden z setek starych budynków, a ty potrafisz nawet rozróżnić poszczególne pomieszczenia. Przyznam, że wczoraj nie zauważyłem żadnego laboratorium.

- Ze szkołą łączą mnie wspomnienia. Mój ojciec uczył chemii w tym laboratorium.

- Czy przeniósł się do nowej szkoły?

- Nie - odparła, kreśląc dalej. - Zmarł, zanim ją wybudowano. Z kolei w mniejszych klasach zmieści się tylko jedna sypialnia. Tu zamiast ścianki wystarczy poręcz.

- Ty z pewnością nie mogłabyś tam mieszkać. Ten lęk wysokości i w ogóle... Ale wezmę to pod uwagę przy ustalaniu wysokości czynszu.

- Dopił kawę, odstawił filiżankę i przysiadł na poręczy jej fotela. - Niech no się przyjrzę temu bliżej.

Było to o wiele gorsze, niż kiedy siedział obok niej na kanapie. Czowała na szyi każdy oddech Cole'a, drażniło ją emanujące od niego ciepło. Nie mogła jednak protestować. Sama go nakłoniła

do oglądania rysunków. Z trudem przełknęła ślinę i opowiadała mu dalej o lokalizacji kuchni i o żelaznych, kręconych schodach. Cole słuchał w milczeniu, zupełnie jakby wciągnęły go te projekty.

- Na piętrze można urządzić podobne mieszkania, z tym że przy ścianach zewnętrznych sufity są trochę niższe - ciągnęła. - Mnie osobiście te wszystkie załamania ścian podobają się bardziej od współczesnych prostokątnych pudełek.

W tym momencie popełniła błąd. Spojrzała na niego i zorientowała się, że tylko na to czekał.

- Heather - rzekł krótko. - Do diabła ze szkołą. Heather kurczowo ścisnęła długopis. Cole pochylił się ku niej.

Ledwo jednak ich wargi zetknęły się, Heather wydało się, że słyszy trzask klucza w zamku.

Próbowała się wyrwać z uścisku, ale Cole trzymał ją mocno. Nie mogła dostrzec, kto wszedł.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Nie wiedziałem, że przeszkadzam.

- Właśnie dlatego chcę mieć swój dom - westchnął Cole. - Tam będzie tylne wejście.

Heather pragnęła zapaść się w fotel, ale stojący w progu mężczyzna nie zwracał na nią żadnej uwagi. Idealny służący, pomyślała. Nic nie widzi, nic nie słyszy i pewnie ubrany jest bez zarzutu. Karykatura dżentelmena.

- To nie twoja wina, Stanley - powiedział Cole wstając. - Zadzwoń po Jasona i poproś, żeby postawił samochód.

Heather z ulgą złapała torebkę.

- Czy chciałbyś, żebym zostawiła ci rysunki? - Jej głos zabrzmiał wyjątkowo zmysłowo.

- No pewnie. Muszę się jakoś utulić do snu.

Nim zdołała zdecydować, czy powinna się obrazić, już wsiadała do auta. Była nieco zdziwiona tym, że Cole wezwał kierowcę. Oznaczało to, że zamierza odwiedzić ją prosto do domu. Nie wiedziała, czy ją to w gruncie rzeczy powinno cieszyć. Przynajmniej nie wchodziła w grę alejka zakochanych...

Mercedes pomknął wprost do Archer's Junction. Cole zachowywał się bez zarzutu do chwili, gdy znaleźli się pod drzwiami. Wtedy przytrzymał jej rękę z kluczem i spytał:

- Nie zaprosisz mnie na kawę?

- Myślisz, że jestem aż taka głupia? Zresztą wypiliśmy już kawę. Nie chciałabym, żeby Jason czekał zbyt długo.

- Jego matka byłaby ci wdzięczna za troskliwość. A całus na dobranoc?

- Wydaje mi się, że też już go dostałeś.

Cole nie słuchał. Przytulił ją mocno do siebie. Trudno byłoby wyrwać mu się bez budzenia sąsiadów. Heather posłusznie nadstawiła usta i czekała.

Nic. Po chwili otworzyła jedno oko.

- Przecież i tak muszę jutro po ciebie przyjechać... - zaczął Cole.

- Niezależnie od tego, co masz na myśli, moja odpowiedź brzmi. nie.

- Rozumiem - uśmiechnęła się figlarnie. - Ale mam następujące pytanie: czy mógłbym zostać u ciebie do rana?

Heather jęknęła.

- W ten sposób dostałbym również całusa na dzień dobry. Och! Kopnięcie w kostkę okropnie boli! Nawet bez broni jesteś niebezpieczna, DeMarco.

- Sam się o to prosiłeś.

- Ty również - mruknął. Przychylił ją przez ramię w hollywoodzkim pocałunku. Gdyby teraz chciała mu się wyrwać, upadłaby na podłogę. Dlatego nie opierała się.

To był długi, namiętny pocałunek, pod wpływem którego całe ciało Heather przeniknęła słodki dreszcz. Zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście, tak jak sobie zażartowała podczas kolacji, nie jest na niego uczulona.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

A ty uwierzyłaś w słowo honoru dżentelmena, skarciła się w duchu Heather. Prawda jest taka, że nie można ufać żadnemu mężczyźnie.

Cole ujrzał ją po raz pierwszy i od razu pocałował, nie pytając, czy miała na to ochotę. Nie przeszkadzało mu nawet, że stało się to w dniu zaręczyn. Dzisiaj również nie krępował się. Brał, co mu wpadło w ręce.

Czy postępował tak zawsze? Może dlatego Elizabetta zerwała zaręczyny? Jeśli tak, to oprócz tego drobnego incydentu musiało być coś więcej, o czym Heather nie miała zielonego pojęcia. Nie interesowały ją plotki z życia wyższych sfer, ale i tak parę razy obity się jej o uszy nazwiska kobiet, które powszechnie łączono z Cole'em Dennisonem. Może oczekiwał, że Elizabetta Winchester pozwoli mu zachować po ślubie duży margines swobody? Najlepszym tego przykładem było zaangażowanie Heather do wykończenia domu, co z pewnością nie ujdzie uwagi jego narzeczonej.

Z drugiej jednak strony zerwanie zaręczyn i wyjazd Elizabetty z miasta wydawały się jej dość rozsądnym posunięciem. Mogła obawiać się, że ulegnie urokowi Cole'a, który potrafi stopić wszelki opór.

Najbezpieczniej byłoby, pomyślała, gdybym zaczęła go unikać. Ale jak mam to zrobić? Nie mogę zadzwonić i powiedzieć mu, żeby jutro nie przyjeżdżał. Nawet gdybym opatrzyła drzwi informacją o chorobie zakaźnej, wdarłby się do środka, twierdząc, że zaryzykuje! Szkoła tylko by na tym ucierpiała.

Heather była przekonana, że w razie zerwania umowy Cole zburzyłby gmach z zimną krwią. Przecież nie zależało mu na nim.

Jak ja sobie z tym wszystkim poradzę, jęknęła, przebierając się w dzinsy i starą bluzę. Skoro mam jutro odgrywać rolę eksperta, muszę się szybko podszkolić.

W sąsiedniej dzielnicy znajdował się wielki sklep, otwarty przez całą dobę. Oprócz obsługi wewnątrz było niewielu klientów. Heather napiła się kawy przy kontuarze i przeszła do działu czasopism.

Znalazła dziesiątki publikacji pouczających, jak należy zaprojektować, wybudować i wyposażyć dom. Jedne magazyny poświęcone były wyłącznie domom tradycyjnym, inne specjalizowały się w stylu wiktoriańskim, oddzielne tytuły omawiały domki współczesne czy kolonialne. Ta sama sytuacja dotyczyła wyposażenia kuchni, łazienki i salonu. Heather z przerażeniem dostrzegła nawet jedno czasopismo, zajmujące się wyłącznie ceramiką podłogową.

- Miałabym ułatwione zadanie, gdyby Cole powiedział, o jaki typ domu chodzi - mruknęła do siebie, wychodząc ze sklepu z naręczem czasopism. Wydała mnóstwo pieniędzy. Ciekawe, czy zgodziłby się pokryć koszty. W końcu nawet ekspert musi mieć swój warsztat pracy.

Kiedy jednak rano zadzwieczał dzwonek, Heather pospieszenie wepchnęła wszystkie magazyny pod łóżko. Cole z pewnością nie uwierzy, że czytuje je regularnie, a nie chciała się przyznać, jak niewiele wie na ten temat. Lepiej będzie, kiedy najpierw obejrzą dom.

Cole stał odwrócony tyłem i, opierając się o poręcz schodów, przyglądał się czemuś w głębi holu. Miał na sobie sportowe buty, kurtkę i stare, sprane dzinsy. Zdziwiło ją to, ale pomyślała, że

nawet bogacze lubią czasami ubrać się wygodnie, a trudno przecież o coś wygodniejszego od starych dżinsów. Znoszony, dopasowany do ciała materiał podkreślał jego zgrabną sylwetkę... Spokojnie, DeMarco. W ten sposób napytasz sobie jedynie biedy. A już nie daj Boże, żeby domyślił się, że nie mogłaś przez niego zasnąć.

Cole odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Czy schody cię nie przerażają? - spytał.

- Nie, o ile nie wychylam się przez poręcz tak jak ty. - Teraz dopiero dostrzegła obiekt jego obserwacji: półokrągły witraż nad drzwiami. - Piękny, prawda? Rzadko widuje się coś takiego w zwykłej kamienicy.

- Poważnie? No, ale w końcu ty się na tym znasz.

Jako ekspert, przypomniała sobie. W tym przypadku wiedziała jednak co nieco i postanowiła spróbować zaszcześcić trochę dobrego smaku Cole'owi.

- Ten jest najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Pewien człowiek chciał go koniecznie odkupić, ale pan Maxner, właściciel domu, nie zgodził się na to.

- Mądry facet.

- Który? - spytała, wietrząc podstęp w tonie głosu Cole'a.

- Obaj - odparł. - Postanowiłem nie kłócić się dziś z tobą, Heather, więc mnie nie prowokuj.

- To nie moja wina, że się ciągle kłócimy - odpaliła.

Cole popatrzył na nią ironicznie.

- No, przynajmniej nie zawsze z mojej winy.

- Jak uważasz, kochanie - zgodził się wesoło. - Nie bierzesz żadnego notesu?

- Za pierwszym razem wystarczą mi ogólne wrażenia - wyjaśniła, licząc, że zabrzmii to poważnie. Zapomniała o notesie.

Przed, domem stało jaskrawoczerwone sportowe auto.

- Nie ma limuzyny? Rozczarowujesz mnie. Uważaj na wybojach - mruknęła, wciskając się do środka. - Nie chciałabym zostać taka pokręcona do końca życia.

- Nie odpowiada ci pozycja z wysoko zadartymi kolanami?

Jak tu ufać człowiekowi, który wciąż przemycza dwuznaczne podteksty, pomyślała.

- A swoją drogą, jesteś zupełnie pewna, że nie byliśmy nigdy kochankami?

- Co???

- Wspominałem o tym wczoraj. Widzisz, marzyłem o tobie w nocy. To dziwne, ale mam uczucie, jakbym cię znał od dawna. Bardzo chciałbym to sprawdzić.

Heather odwróciła głowę w stronę okna i udawała, że ogląda krajobraz.

Nie doceniła zalet samochodu. Auto pędziło jak błyskawica. Najpierw jechali miejską obwodnicą i zanim Heather zdążyła spytać, w której dzielnicy znajduje się dom Cole'a, zjechali z autostrady na boczną drogę.

Po chwili minęli ocieniony starymi drzewami podjazd wiodący do olbrzymiej posiadłości, zbudowanej w stylu południowych plantacji. Heather zorientowała się, gdzie są.

- To chyba Century Club?

Cole skinął głową. Wydawał się zdumiony tym, że Heather poznała to miejsce.

- Może nie obracam się na co dzień w wyższych sferach - powiedziała ale czytuję gazety. Byłam tu nawet kiedyś na ślubie.

- I nic o tobie nie słyszałem? - spytał Cole. - Musiałem chyba bawić za granicą, skoro ominęła mnie ta historia.

- Sam niedawno oskarżałeś mnie o wszczynanie kłótni - zaprotestowała.

Cole puścił dźwignię zmiany biegów, ujął dłoń Heather i pocałował ją. Przyjęła przeprosiny, ale wyrwała rękę.

- Czy to prawda, że klub jest tak ekskluzywny, że liczy sobie tylko stu członków? - zapytała, chcąc odwrócić myśli od miejsca na dłoni, które musnęły jego wargi. Czowała tam niepokojące mrowienie.

- Owszem. Może to się jednak zmieni, bo lista kandydatów dochodzi już do tysiąca nazwisk. Niemniej Century Club jest bardziej ekskluzywny niż Mayflower Society i Stowarzyszenie Cór Rewolucji razem wzięte.

- Należysz do niego?

- Niestety, jestem tylko wśród tysiąca oczekujących.

Zerknął na nią.

- Wyglądasz na zaskoczoną.

- Raczej jestem zdumiona. Myślałam, że ze swoją fortuną będziesz tam mile widziany.

- Doprawdy?

- A może zarząd Century Club dzieli pieniądze na lepsze i gorsze? Chyba zarobiłeś je własną pracą?

- Co do grosza. Czemu pytasz? Czy chcesz napisać moją nie autoryzowaną biografię?

- Owszem, w wolnej chwili.

- W takim razie muszę trzymać język za zębami. Heather nie słuchała. Z nosem przyklejonym do szyby obserwowała krajobraz. Minęli właśnie wypielegnowane pole golfowe i skręcili w szeroką aleję, wiodącą wśród wielkich, eleganckich, starych domów. Z każdą chwilą czuła się coraz bardziej obco.

- W tej okolicy pewnie nie częstuje się dzieci lemoniadą, a sąsiedzi nie zbierają się w sobotnie wieczory przy piwie i kiełbaskach z rusztu - mruknęła. - Założyłabym się, że nie uświadczysz tu również ani jednej doniczki z geranium.

Cole uśmiechnął się lekko.

- Z powodu bliskiego sąsiedztwa Century Club, ten rejon nazywają Setką.

- A większość właścicieli tych posesji żywi próżne nadzieje na przyjęcie do klubu. -

Zorientowała się, że strzeliła gafę. - Nie miałam ciebie na myśli,

- Doceniam twoje starania, Heather. Dają mi jakąś nadzieję.

Heather z uśmiechem rozsiadła się wygodniej.

Kilka przecznic dalej Cole skręcił w uliczkę wijącą się pośród znacznie nowszych domów. Tu różnorodność stylów była o wiele większa niż w starej alei. Obok domków kolonialnych i wiktoriańskich wiele konstrukcji wzniesiono ze stali i szkła. Heather spoglądała na nie z mieszanymi uczuciami.

Dalej piętrzyły się budowle ledwo wyrosłe z ziemi. Na niektórych placach budowy krzątali się robotnicy, inne wyglądały na opustoszałe. Gdzieś tam ułożono nawet trawniki.

- No i jak ci się podoba? - spytał Cole. Heather rozejrzała się ostrożnie.

Samochód zatrzymał się na samym końcu zaułka. Przed nimi wyrastał odsunięty daleko od jezdni zamek w stylu francuskim. Był olbrzymi, o wiele większy od innych domów przy tej ulicy. Miał przynajmniej sześćdziesiąt metrów szerokości. Powyżej drugiego piętra rząd małych, półokrągłych okienek zapowiadał kolejną kondygnację na poddaszu. Heather naliczyła sześć wysokich kominów oraz kilka wieżyczek: trzy od frontu i jedną z tyłu budynku. Wewnątrz, pomiędzy dwoma skrzydłami, ciągnęła się oranżeria sięgająca wysokością drugiego piętra.

Zerknęła na Cole'a. Złożył ręce na kierownicy i podziwiał swój skarb. Heather westchnęła smutno. Kupno magazynów było jedynie stratą czasu i pieniędzy. W tym przypadku na nic jej się nie przydadzą.

Biała kamienna fasada wydała się jej zbyt surowa, kąty za precyzyjne, ornamenty odpychały swą ostrością. Wokół brakowało jej drzew i krzewów, które łagodziłyby masywny kształt budowli. Masz się tym przecież zająć, Heather, przypomniawszy sobie. Nie masz wyboru.

- To jest... najbardziej niesamowity budynek, jaki widziałam - wykrztusiła.

Cole uśmiechnął się kącikami ust.

- Mówisz, jakby cię coś ścisnęło za gardło. Przestań gryźć się w język i powiedz mi, co naprawdę o tym sądzisz.

- No cóż, miałeś rację. Nasze poglądy na piękno różnią się znacznie. Gdyby go trochę spatynować, wyglądałoby na filmową dekorację. Przydałoby się parę drzew. Jeżeli jednak nie sprowadzisz tu od razu dużych, przez całe lata będzie to wyglądało okropnie. Cole, nie mogę wprost uwierzyć, że sam to wymyśliłeś.

- Wydajesz się być rozczarowana. Czyżbyś oczekiwała miniaturowej Dennison Tower? - spytał retorycznie.

- Tak - przyznała.

- Myślałem, że nie cierpisz takich budynków - zdumiał się Cole.

- Tu by nawet pasował. Przynajmniej wyglądałoby realistycznie, a nie jak plastikowa makietka.

- Plastik? - obruszył się Cole. - Wybacz, ale to marmur...

- Na twoim miejscu rtęć udawałabym kogoś innego. To nie żadna kopia Monety nad kominkiem w twoim biurze.

- W końcu to nie był jedynie mój pomysł - nieśmiało napomknął Cole.

- Ach, prawda, zupełnie zapomniałam o francuskiej fascynacji Elizabetty! - wykrzyknęła Heather. - Oczywiście, że nie zgodziłaby się na stal i szkło. Ale dziwi mnie jedynie, że zamiast tego nie odnowiła domu Winchesterów.

- Tam nadal mieszka rodzina Jacka. - Pociągnął ją w stronę drzwi wejściowych. - No i tamten dom nie stoi w obrębie Setki.

- Cole - opierała się Heather. - Nie znam się na francuskim renesansie.

- Nic nie szkodzi. To kwestia zmiany sposobu myślenia, zupełnie jak przy przejściu z systemu całowego na metryczny. Najpierw trzeba się chwilę zastanowić, a potem wszystko zaczyna się układać.

- Kiedy nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o ten styl.

- Znajdziesz odpowiednią książkę w swojej bibliotece.

Zrozpaczona Heather wzniosła oczy ku niebu i zobaczyła nad portalem wykutą w kamieniu lilię. Ten drobny detal uspokoił ją nieco. Skoro wszystko zostało tak szczegółowo zaplanowane, to do roboty pozostanie jej chyba niewiele. Wystarczy przejrzeć plany...

Cole otworzył jedno skrzydło zwieńczonych łukiem drzwi i weszli do środka. To nie jest zwykły hol, pomyślała z przerażeniem Heather, tylko olbrzymia hala.

Sufit znajdował się prawie pod samym dachem, o dwadzieścia metrów nad głową.

Czterometrowej szerokości schody wiodły na pierwsze piętro i stamtąd rozdwojone sięgały drugiego. Pomieszczenie przytłaczało swym ogromem, trudno było objąć je wzrokiem. Heather ostrożnie postąpiła dwa kroki do przodu i spojrzała w górę. Z sufitu, zamiast kryształowego żyrandola, zwisały na przewodach elektrycznych gołe żarówki.

Prowizoryczna podłoga wykonana została ze sklejk, a balustrada schodów z białych zbitych desek.

- Myślę, że pasowałaby tu poręcz z kutego żelaza.

- Widzisz? - ucieszył się Cole. - Już zaczynasz się orientować.

Po prawej stronie znajdował się szereg pokoi o trudnym do określenia przeznaczeniu. Wszystko było w stanie surowym. W przeciwieństwie do pieczołowicie odtworzonej fasady, w środku panowało istne pomieszanie stylów, z przeszkloną ścianą w tylnej części włącznie. Całość sprawiała wrażenie niefortunnego połączenia dwóch różnych epok.

-Salon, sala bilardowa, palarnia... - objaśniał cierpliwie Cole.

- Przecież nie palisz.

- W takim razie można to nazwać pokojem karcianym. Gabinet odnowy, sauna... Gdy tylko pogoda pozwoli, za tym skrzydłem rozpocznie się budowa basenu.

Heather odwróciła się do niego plecami. W ten sposób mogła spojrzeć w głąb pomieszczenia znajdującego się po drugiej stronie holu. Było olbrzymie, w jednym kącie półokrągłe. No jasne, pomyślała. Tam przecież jest wieża.

- Jadalnia - ciągnął Cole. - A za nią oranżeria, garaże i lądowisko dla śmigłowca.

- Ile to razem będzie metrów kwadratowych?

- Około ośmiu tysięcy.

Heather była wstrząśnięta.

- Cole, to przecież dziesięć razy więcej niż przeciętna posiadłość. Po co ci tyle przestrzeni mieszkalnej?

- Żeby zaimponować ludziom? - podpowiedział Cole.

- Na to wygląda. Ale przecież ty nie musisz nikomu w ten sposób imponować.

- Czy to miał być komplement? - Poglądził ją po policzku. - Dziękuję, kochanie.

Heather przeszła się z nim po pokojach. Przyjeżdżając tu była przygotowana na widok gołych ścian i podłóg, na zapach świeżo położonego tynku. Spodziewała się jednak, że ukończone są chociaż podstawowe prace budowlane. Niestety, w futrynach brakowało drzwi, zamiast kinkietów w ścianach ziały dziury. Goły kominek straszył brakiem oblicowania.

A to dopiero był początek.

Na pierwszym piętrze straciła rachubę pomieszczeń. Znajdowała się tam łoża, z której zgodnie z zapewnieniami Cole'a, miał się w przyszłości rozciągać uroczy widok na basen. Dalej okrągłe pomieszczenie, większe od jej mieszkania, które miało służyć jako drewnutnia. Pokoje, salony i biblioteki ciągnęły się bez końca.

Połowę drugiego piętra, zgodnie z przewidywaniami Heather, zajmowały apartamenty gospodarza, wliczając w to dwie wieże i garderobę z własnym balkonem.

- Czy to pokój dziecienny? - spytała, stając w progu mniejszej sypialni. - Znakomity do karmienia niemowlęcia o trzeciej w nocy i utulania w razie złych snów.

- Nie - spokojnie wyjaśnił Cole. - To druga sypialnia. Nie uważasz, że trochę za wcześnie na urządzenie pokoju dzieciennego?

No cóż, pomyślała Heather, przy takiej liczbie pomieszczeń, pokój dla dziecka nie będzie stanowił problemu. Ciekawe, kto wpadł na pomysł oddzielnych sypialni. Czyżby Elizabetta, ponieważ tak się przyjęło w jej sferze? A może to przewidujący Cole Dennison, który z góry zakłada, że pani Dennison nie będzie jedyną kobietą w jego życiu?

- Zamierzacie spać oddzielnie?

- Nie chciałbym cię zgorszyć, ale kochanie się nie ma nic wspólnego ze spaniem razem.

- Nie bądź idiotą - zachnęła się. - Oczywiście, że ma. Seks można sprowadzić do postaci wyizolowanego aktu fizycznego, ale nie miłość. Miłość zawiera się również w przytulaniu do siebie, zasypianiu w objęciach...

-I budzeniu chrapaniem drugiej strony.

- Moja matka - odrzekła z godnością Heather - zwierzyła mi się, że najgorsze chwile, od kiedy została wdową, przeżywa budząc się samotnie. Ale wydaje mi się - dodała - że jedynie przedstawiciele klasy średniej doceniają wspólną sypialnię. Podobnie jak częstowanie dzieci sąsiadów lemoniadą i sobotnie barbecque. Wyrosłam w tej atmosferze i nie obchodzi mnie, czego ty chcesz.

- Oczywiście, że nie - mruknął.

Przeszła przez pokój dzienny do większej sypialni.

- Ta chyba należy do Elizabetty? - spytała, zmieniając temat. - Pewnie z cedrową sztukaterią.

Cole wziął ją za rękę i zaprowadził do łazienki, ulokowanej w wieży. Była większa od przeciętnej kawalerki, miała nawet kominek. Zgodnie z przypuszczeniami Heather sterczały tam tylko gołe rury.

- To jakieś koszarne nieporozumienie - stwierdziła. - Tego domu nie da się urządzić przed nastaniem lata.

- Nie masz pojęcia, co da się zrobić, płacąc odpowiednie sumy - odparł cynicznie Cole.

Heather odwróciła się i zeszła ostrożnie po schodach.

- Nie chcesz obejrzeć trzeciego piętra? - zawołał z góry Cole.

- Dopóki nie będzie porządnym poręczym, to raczej nie. A poza tym korciłoby mnie, żeby cię zepchnąć.

- Wcale się nie boję - roześmiał się Cole. - Nie podeszłabyś dostatecznie blisko do krawędzi.

W drodze powrotnej Heather milczała i przygryzając wargę zastanawiała się, jak mogła być tak lekkomyślna, podejmując się pracy, do której nie miała żadnych kwalifikacji.

Cole najwyraźniej nie miał takich wątpliwości.

- Jutro o dziesiątej rano przyślę ci architekta.

- Ależ, Cole, jestem kobietą pracującą. Czy wydaje ci się, że zdołam do dziesiątej rano przestudiować literaturę dotyczącą takich neoeuropejskich potworków?

- Och, Audrey z pewnością będzie miała dla ciebie mnóstwo pomysłów. Rzuć jedynie na to okiem. Ona zna się na tym.

- To dlaczego w takim razie nie powierzysz tego Audrey?

- Bo jest również bardzo zapracowana. A ja chcę mieć dom, a nie obiekt nagrodzony na konkursie architektonicznym.

- Nic nie zmieni tego miejsca w dom, Cole. Jest upiorne. Powiedziałeś, że chcesz mieć tylne wejście. Rozumiem. Ale w tym domu jest ich dziewiętnaście.

- Żartujesz.

- Nie, do cholery. Policzyłam je.

- Porozmawiaj jednak z Audrey, dobrze? To tylko wstępna narada, a nie żaden egzamin.

Tego się właśnie obawiała. Jediną sensowną rzeczą, jaką powinna zrobić, było natychmiastowe przyznanie się do tego, kim jest naprawdę. Cole pewnie by się tylko ucieszył, że nie odda swego cennego domu w niepowołane ręce.

Heather zamierzała właśnie mu to powiedzieć, gdy sportowe auto zawróciło i zatrzymało się przed jej domem. Po przeciwnej stronie ulicy zobaczyła sylwetkę stojącego przed szkołą dźwigu. Z tej odległości wyglądał jak cierpliwie czekający sęp. Kula burząca tkwiła bezpiecznie zamocowana, ale jutro wystarczy jedno słowo Cole'a, by ją uruchomiono.

Mam nadzieję, że Elizabetta w końcu mu wybaczy, pomyślała z rezygnacją Heather. Kiedy tylko się pogodzą, Cole natychmiast mnie zwolni. A ponieważ ze swojej strony dotrzymałam

warunków umowy, on powinien wywiązać się z obietnicy odnowienia szkoły. Oby nastąpiło to, zanim zacznę szukać kandelabru do tego koszmarnego holu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ku zdumieniu Heather, Cole nie wrócił do centrum, tylko poszedł wraz z nią do ciastkarni.

- Powiedziałaś, że to wspaniałe miejsce na zakupy - wyjaśnił. - Więc się trochę porozglądam.

- Czego szukasz?

- Kręconych schodków z kutego żelaza dla szkoły. Pewnie chciałabyś, żeby były autentyczne, więc znalezienie trzydziestu sztuk może zająć mi całe popołudnie. Chyba że należałabyś, by każdy był inny. W takim razie potrwa to trochę dłużej.

- Przynajmniej do końca tygodnia - sucho odpowiedziała Heather.

- Obawiam się, że w takiej sytuacji może to pokrzyżować twoje plany budowy mieszkań. Na wszelki wypadek przemyśl koncepcję więzienia o zaostrowym rygorze.

Nie czekając na odpowiedź, popędził wzdłuż ulicy, najwyraźniej ignorując szyld znajdującego się po drugiej stronie sklepu z wyrobami kowalskimi. Heather tylko pokręciła głową i weszła do cukierni.

Cole Dennison był najwyraźniej nieobliczalny. Może po prostu poszedł, z sobie jedynie znanych powodów, starając się trzymać ją w niepewności przez całe popołudnie. Z drugiej strony mógł też pojawić się niespodziewanie w cukierni w towarzystwie paru objuczonych krętymi schodkami mężczyzn i najniewinniej poprosić ją, żeby mu je przechowała.

Heather przypomniała sobie młodego strażaka. Pewnie zostaliby jedynie przyjaciółmi, ale nigdy się już tego nie dowie. Cole niewątpliwie interesował się nią, tyle że w niewłaściwy sposób.

Pamiętaj o tym, upomniała się w myślach. Łatwiej ci wtedy będzie wytrwać.

Zgodnie z przewidywaniami, Cole pojawił się wczesnym popołudniem. Włosy miał potargane przez wiatr i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Pod pachą trzymał pudełko, w jakie pakuje się tuzin róż. Karton był jednak sfatygowany i brudny. Widocznie przeleżał się gdzieś na strychu.

Heather przyjrzała się podejrzliwie pakunkowi. Mogła iść o zakład, że to jakiś żart.

Cole nie kwapił się, by jej go wręczyć. Usiadł tylko przy najbliższym stoliku ze szklanym blatem i bacznie zlustrował zawartość gablotki.

- Wybrałaś coś? - spytała Heather.

- Owszem - mruknął. - Poproszę o lukrowane ciasteczko. To największe.

Wskazał na ciastko z wymalowaną lukrem twarzą kłowna. Heather zawsze miała parę takich na podorzędziu, bo małe dzieci uwielbiały je.

- Jesteś niemożliwy - stwierdziła. - Te ciastka jedzą przeważnie klienci do lat czterech.

Cole wgryzł się w ciastko.

- Niezłe - zauważył z pełnymi ustami - ale nie takie dobre, jak robiła moja babcia. Tylko nie mów nic mamie. Nie chciałbym jej urazić.

Heather chciała powiedzieć, że to ona sama mieszała składniki, co więcej, nawet wymyśliła przepis, ale ugryzła się w język.

- Cole, każda babcia piecze najlepsze w świecie ciasteczka. To prawo natury, takie samo jak prawo ciąży.

Cole pokręcił głową.

- Ciasteczka mojej babci były naprawdę wyjątkowe. Co prawda miała do pomocy czarodziejską różdżkę - wałek do ciasta.

- Czarodziejski wałek? Daj spokój, Cole.
- Zupełnie o tym zapomniałem, do chwili gdy zobaczyłem taki sam w jednym z tutejszych sklepów. - Otworzył pudełko. - Chcesz zobaczyć?
- Cole, kupiłeś... Żartujesz sobie ze mnie. Jednak to, co wyjął z pudełka, okazało się istotnie drewnianym wałkiem do ciasta. Był bardzo stary, bardzo poszczerbiony i okropnie brudny.
- Mogę ci go pożyczyć - zaofiarował się wielkodusznie.
- W tej chwili schowaj go z powrotem! Cole wydawał się dotknięty.
- Gdyby inspektor sanitarny zobaczył, że używam czegoś takiego, natychmiast zamknąłby ciastkarnię. Spróbuj go najpierw domyć. Skąd przyszło ci do głowy, że to czarodziejski wałek?
- Ten może akurat nie, ale moja babcia miała taki. Zawsze wszystko się jej udawało. Sam widziałem...

- Ależ, Cole, to nie żadne czary, tylko lata praktyki. Moja babcia była taka sama.
- Naprawdę? - Popatrzył z rozczarowaniem na wałek. - Ale i tak warto było go kupić.
- Założę się, iż zapłaciłeś za niego tyle, że twoją babcie rozbolałyby zęby.
Kiedy wymienił cenę, Heather jęknęła. Potem jednak szybko uświadomiła sobie, że taka suma nie nadweryżyła specjalnie kieszeni Cole'a i natychmiast przestała go żałować.
A to zabawne, Cole Dennison w roli oskubywanej, niewinnej owieczki! To burzyło jego image.
- I co zamierzasz z tym zrobić?

Heather zupełnie nie mogła sobie wyobrazić starego wałka do ciasta jako głównego elementu dekoracyjnego supernowoczesnej, eleganckiej kuchni, oglądanej wczoraj w czasopiśmie. W dodatku nawet taka kuchnia byłaby za skromna w pałacu Cole'a.

Dzięki Bogu, że to nie moja sprawa, pomyślała. Na szczęście Elizabecie przypadnie wyniesienie czarodziejskiego wałka na strych.

Do cukierni weszła właścicielka sklepu z kutym żelazem. Ukłoniła się uprzejmie Cole'owi, ale nie tak, jak wita się sprzedawca ze spotkanym przypadkowo klientem. Przyjrzała mu się raczej podejrzliwie, jak gdyby nadal wierzyła w plotki o dziecku.

Heather sięgnęła po zwyczajowe zamówienie sąsiadki i od niechcenia zapytała:

- Jak tam kręcone schody z kutego żelaza dla szkoły? Czy udało ci się je gdzieś wypatrzeć?
Sąsiadka nastawiła uszu.

- Kręcone schody? - zdziwiła się. - Pierwsze słyszę. Heather ze smutkiem pokiwała głową.

- Pewnie chciałeś mi powiedzieć, że ich nie znalazłeś. Wstydzilibyś się, Cole.

Z przyjemnością zobaczyła, że się zmieszał.

- Musiałem gdzieś zabłądzić - mruknął.

- Szuka pan kręconych żelaznych schodów? - przystąpiła do ataku sąsiadka, przysiadając się do Cole'a. - W tej chwili nie dysponuję takimi, ale mogę sprowadzić. Jakiej wysokości? Czy to mają być prawdziwe schody, czy tylko dekoracja służąca do podtrzymywania doniczek z kwiatami?
Cole posłał Heather spojrzenie zapowiadające krwawą zemstę. Uśmiechnęła się jedynie w odpowiedzi. Zasłużył sobie na taką karę.

Była trochę zdziwiona, kiedy po zamknięciu cukierni Cole zapakował starannie wałek i odprowadziwszy ją do domu nie spytał, czy może wstąpić. Pożegnał się tylko.

W chwilę potem doprowadził Heather do białej gorączki. Wychylił się przez okno samochodu i powiedział:

- Mam wieczorem parę spraw do załatwienia. Inaczej za nic nie ruszyłbym się stąd, Heather. Wprost nie mogę znieść, kiedy tak na mnie patrzysz.

- Jak? - spytała i natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd.

- Rozczarowana tym, że odjeżdżam. Już zaczynasz za mną tęsknić.

W poniedziałkowy, mroczny poranek zamek Cole'a Dennisona nie prezentował się, zdaniem Heather, wcale lepiej niż w słoneczne niedzielne przedpołudnie. Heather zaparkowała samochód przed wejściem, zastanawiając się, czy nie powinna zostawić pod wycieraczką informacji, że przybyła tu w sprawach służbowych. Jej auto wyraźnie kontrastowało z otoczeniem i mogło wzbudzić podejrzenia miejscowych służb ochrony. W pobliżu parkował jedynie jaguar.

- Pewnie wezmą mnie za sprzątaczkę - mruknęła. Czowała się skrępowana tą sytuacją.

Z torebki wyjęła klucz, który wręczył jej Cole. Jak wszystko w tym domu, był wielki i ciężki.

Mimo to gładko przekręcił się w zamku, a dobrze naoliwione drzwi otworzyły się bez trudu.

Olbrzymi hol nadal sprawiał przytłaczające wrażenie, a bez rozświetlającego go słońca wydawał się wręcz odpychający. Heather westchnęła i pomyślała, że powinna jednak poczekać w samochodzie. Dom wyglądał na zamieszkały przez duchy. Przeszył ją dreszcz na myśl, że miałaby tu samotnie spędzić noc.

Stała właśnie w sali bilardowej, zastanawiając się, czy Cole rzeczywiście grywa w bilard, gdy usłyszała kroki przed wejściem. W chwilę potem ich echo rozniosło się po holu i Heather odwróciła się, by obejrzeć architekta, który zaprojektował ten niewiarygodny budynek.

Ujrzała szczupłą kobietę w eleganckim czarnym kostiumie.

- Heather DeMarco? Jestem Audrey Hobart.

- Miło mi cię poznać. Podały sobie ręce.

- Cole mówił mi, że oprowadził cię po domu. No i co o tym sądzisz?

Proste i podchwytliwe pytanie, pomyślała Heather. Wydaje się jej, że będą piała z zachwytu, tak jak większość ludzi, którym wybudowała domy, że przyciśnie mnie do ściany. Nie mogę przecież kłamać. Z drugiej strony, nie mogę przecież powiedzieć całej prawdy. O ile wiem, jest najlepszą przyjaciółką Elizabetty...

Wzięła głęboki oddech.

- Przykro mi - rzekła - ale będę szczerą. Zresztą, gdybym nawet próbowała to ukryć i tak w końcu się domyślisz, co tylko postawi nas w niezręcznej sytuacji. Krótko mówiąc, jest to najdziwaczniejszy dom, jaki w życiu widziałam.

Audrey Hobart nie przestała się uśmiechać.

- Cole powiedział mi również, że nie masz zwyczaju niczego owijać w bawełnę. No to bierzmy się do roboty. - Przeszła do okrągłego pokoju obok wieży. - To mój ulubiony zakątek, a oprócz tego - wskazała na ustawioną pod oknem ławeczkę - jedyne miejsce, gdzie można rozłożyć plany.

Ta uprzejma odpowiedź zbiła z tropu Heather.

- Wcale nie zamierzam kwestionować twoich kwalifikacji. Sądzę, że odwalilaś kawał wspaniałej roboty, łącząc ze sobą te wszystkie... hektary.

Audrey Hobart wydawała się rozbawiona.

- Niech no zgadnę. Uważasz, że ten dom jest za duży jak na jedno małżeństwo.

- Jest za duży nawet na centrum kongresowe, nie wspominając o zwykłym miesiácu miodowym.

Audrey wybuchnęła śmiechem.

Heather nie wiedziała, jak się zachować. Dlaczego druzgocąca krytyka tak bardzo rozbawiła autorkę?

Audrey Hobart zdjęła przykrywkę z kartonowej tuby i wyciągnęła z niej plany. Przykucnęła zgrabnie obok ławeczki, grzebiąc w papierach.

- To okropne, prawda? Mówię o tych trzydziestu trzech pokojach.

Heather ze zdumienia otworzyła usta.

- Ale to przecież twój projekt.

- Owszem. To nie znaczy, że mi się podoba. Usiłowałam wyjaśnić Elizabecie, że się tylko wygłupi. Nie słuchała mnie i takie są skutki. Teraz jednak Cole dał mi wolną rękę i przygotowała dla ciebie parę szkiców.

- Trzydzieści trzy pokoje - powtórzyła z niedowierzaniem Heather. Zaraz, zaraz, przypomniała sobie, przecież wczoraj sama policzyła drzwi.

- Nie licząc łazienek - dodała Audrey. - Jest ich siedemnaście. Zacznijmy od holu.

Heather obejrzała rysunek. Była to właściwie namalowana perspektywa przedstawiająca hol do strony drzwi wejściowych. Schody z kutymi poręczami. Proporcje ścian zmniejszone przez sztukaterie i poziome linie poręczy. Podłogi z wymyślną mozaiką z białego i różowego marmuru, a nad schodami kryształowy żyrandol.

Całość nie przypominała pospiesznego szkicu Heather, ale nie było się o co spierać. Coś ją niepokoiło, ale w zasadzie zgadzała się z koncepcją Audrey Hobart. Jeśli pójdzie tak dalej... Do świadomości Heather wdarł się nagle cichy, rytmiczny dźwięk. Gotowa była przysiąc, że nie słyszała go przed chwilą. Wydawał się jej jednak znajomy.

Hałas natężył się i Heather jęknęła cicho, rozpoznając warkot śmigłowca.

Tym razem myśl o ujrzeniu Cole'a nie wywołała u niej dreszczu niepokoju. Poczła jedynie coś w rodzaju irytacji i znużenia. To pewnie po wczorajszej rozmowie, pomyślała. Czy naprawdę wyglądałam na rozczarowaną?

- Cole jest wyjątkowo zapracowanym miliarderem- odezwała się.

Audrey spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Oczywiście, nie znam innych - dodała Heather.

- Ale skoro zamierza zająć się domem osobiście, to po co mnie w to angażuje?

- Ależ wcale nie zamierza - powiedziała kwaśno Audrey. - Jest mistrzem w przerzucaniu odpowiedzialności na innych.

- Tak? Czy właśnie z tego powodu dom przypomina olbrzymi marmurowy tort weselny? Pewnie również dlatego przeoczył, że jest właścicielem szkoły.

- Wiesz też o szkole? - ożywiła się Audrey. - To fascynujące zadanie.

- Mieszkam w Archer's Junction - odparła Heather. - Czy ty zajmujesz się jej renowacją?

- Owszem - skinęła głową Audrey. - Znalezienie właściwego zastosowania dla szkoły jest prawdziwą sztuką. Nie nadaje się na mieszkania.

- Cole też tak twierdzi. Pewnie dlatego, że to mój pomysł.

Hałas wywoływany przez śmigłowiec ucichł. Heather usłyszała kroki w holu i głos Cole'a.

- Audrey, Heather! Gdzie jesteście?

O Boże, pomyślała Heather. Akustyka jak w filharmonii.

- W okrągłym pokoju! - odskrzyknęła Audrey.

- Tylko nie mów mu, w którym. Niech trochę poszuka. To mu zajmie z pół dnia.

Audrey uśmiechnęła się tylko.

- A co do szkoły, Cole ma rację, Heather. Jest za mała, żeby mogła na siebie zarobić.

- Za mała? - Heather pokręciła głową z niedowierzaniem. - Pierwsze słyszę.

- Obawiam się, że tak. Jeżeli wybuduje się tam różne udogodnienia w rodzaju basenu, sauny i gabinetu odnowy, czynsze będą niebotyczne.

- Audrey - powiedział uprzejmie Cole. - Nie zanudzajmy Heather szczegółami.

- A jeśli mnie to bawi? - spytała buńczucznie Heather.

- Rozejrzyj się wokół - zaśmiał się Cole. - Pełno tu szczegółów.

- No tak - mruknęła Heather. - Nie potrzeba tu jedynie systemu przeciwwłamaniowego. Każdy złodziej wchodząc tak zadzwoni żyrandolem... Żyrandol! - wykrzyknęła i schwyciwszy rysunek

holu odsunęła go od siebie na odległość wyciągniętej ręki. - Jest za mały, zniknie w tej przestrzeni. Musimy znaleźć coś większego.

Audrey zerknęła na rysunek. Lekko rozchyliła usta.

Heather przełknęła ślinę. Po co zaatakowała Audrey, skoro tamta jest fachowcem? Cole też niestety usłyszał jej uwagę. Może to była zwykła bzdura i teraz wyjdzie na kompletną idiotkę? A jeśli nawet, pocieszyła się, to kto się tym będzie przejmował?

Cole przestudiował uważnie projekt.

- To górski kryształ z Austrii - odezwała się cicho Audrey. - Ten żyrandol przysłała Elizabetta.

- On już jest kupiony? - zdziwiła się Heather. - To nie żaden projekt?

- Trzy miesiące temu wysłałam do Francji szkice z moimi uwagami i prośbą o ewentualne poprawki- wyjaśniła, wzruszając ramionami Audrey. - Jako jedyną odpowiedź dostałam ten żyrandol.

Powinłam się ugryźć w język, pomyślała Heather. Pozbycie się już istniejącego i na pewno kosztownego żyrandola to nie to samo, co wymazanie go gumką z rysunku. Zawsze jednak, gdy jakaś myśl wydawała jej się słuszna, walczyła o nią aż do końca.

- Nadal twierdzę - powiedziała, że zginie w tym wielkim holu.

- Masz rację - zgodziła się Audrey. - Wiedziałam o tym od samego początku. Co teraz jednak...

- Powiesimy go w jadalni - zawyrokowała Heather. - Tam będzie pasował.

- Jak ułał. Trzeba znaleźć gdzieś większy do holu - zapisała sobie Audrey.

Cole nic nie mówił, ale wyglądał na bardzo zadowolonego. Heather miała ochotę go kopnąć. Czy zaakceptował to rozwiązanie? A może po powrocie Elizabetty każe przewiesić jej cenny żyrandol z powrotem? Mógł też cieszyć się, że cały ciężar odpowiedzialności zrzuci na głowę komu innemu.

W ten sposób, w ciągu pół godziny, Heather i Audrey nie ruszając się z miejsca omówiły większość pomieszczeń na parterze.

- A teraz problem półek w bibliotece - odezwała się Audrey, gryząc ołówek.

- Półki w bibliotece - mruknęła Heather. - W tym tkwi jakaś nowatorska myśl.

- Chodzi o ich wysokość.

Heather przeciągnęła dłońmi po włosach.

- Doskonale znam to uczucie - pocieszyła ją Audrey. - To wskutek nadmiaru informacji.

Odsapnij i bierzemy się do roboty. Już prawie skończyłyśmy.

- Zróbmy je z możliwością regulacji. Chyba że to beznadziejny drobnomieszczański wynalazek. Czy on kolekcjonuje tanie wydania albo wielgachne albumy?

- Nic z tych rzeczy - odezwał się Cole. Heather zerwała się na równe nogi. Cole milczał przez ostatnie pół godziny, więc zupełnie zapomniała o jego obecności.

- Regulowana wysokość półek będzie znakomita- wtrącił. - Zapraszam was na lunch. Chyba wystarczy ci danych jak na początek, Audrey?

- Jasne. Dziś po południu zrobię projekty gzymsów i można je będzie instalować już od środy.

Nie mam jednak czasu na lunch. Pędzę na kolejne spotkanie, w sprawie nowego biurowca rządowego.

- Słyszałem, że pracujesz nad tym wraz z Johnem. Audrey smętnie pokiwała głową. Nadal obgryzała ołówek.

- Robota nudna, ale prestiżowa.

No pewnie, pomyślała Heather. Czytałam, że zajmuje się tym zespół najlepszych architektów, a ja skrzytykowałam jej dzieło!

- Co będzie z kuchnią, Heather? Czy możemy spotkać się pod koniec tygodnia, żeby uzgodnić sprawę szafek i wyposażenia?

- Z tym może być problem. Pracuję.

- Zadzwoń do właścicieli salonów wystawowych - powiedziała Audrey. - Z przyjemnością przyjmą cię po pracy.

Heather stwierdziła, że nie uda się jej wymigać od odpowiedzialności.

- Świetnie. W czwartek.

- Nie będziesz musiała przepychać się przez tłum - dodał Cole. - To pozwoli ci lepiej zastanowić się nad wyborem.

Heather podniosła głowę i spojrzała na niego. Wciąż jeszcze siedziała na podłodze otoczona pomiętymi szkicami, rysunkami i katalogami. Z tej perspektywy stojący obok Cole wydawał się bardzo wysoki.

- Z pewnością przy okazji padnie twoje nazwisko - rzekła słodkim głosem. - To niewątpliwie spowoduje wzrost ceny, ale chyba nie masz nic przeciwko temu.

- Muszę już uciekać - powiedziała Audrey. Pozbierała rysunki, wręczyła Heather stos katalogów i z miłym uśmiechem dodała: - Nieźle pracuje się z kimś rozsądnym, kto szybko podejmuje decyzje.

- Zupełnie jakbym się do tego nie nadawał - mruknął Cole, ale Audrey już zniknęła w czeluściach domu.

Heather usiłowała wstać, ale zdrętwiała od siedzenia w niewygodnej pozycji. Cole podał jej rękę.

- Chyba nie o to jej chodziło. Dlaczego milczałeś przez cały czas?

- Bo świetnie sobie razem radziłyście.

- Ale masz jakieś swoje opinie na ten temat.

- Chyba tak. Nie wiedziałbym jednak, od czego zacząć. To raczej miał być dom Elizabetty, nie mój.

- A ty nie wyobrażasz sobie tu życia bez niej, prawda? - spytała cicho Heather. Odchrząknęła i dodała obojętnym tonem: - Pamiętam o tym, by położyć grubą wykładzinę, żeby dzieciaki ci się nie przeziębiali. Ach prawda, nie będzie dzieci.

- Nie powiedziałem, że nie mam zamiaru mieć dzieci, tylko że jeszcze za wcześnie, by szykować różową i niebieską tapetę.

- Ale biorąc pod uwagę oddzielne sypialnie, sądziłam...

Cole uśmiechnął się i uniósł do ust jej obie dłonie.

- Heather, pozwól, że ci wyjaśnię, skąd biorą się dzieci.

Dotknięcie ciepłych warg sprawiło, że przebiegł przez nią dreszcz. Z trudem zdołała się opanować.

- Daj spokój - burknęła. - Oszczędź mi wykładu o motylkach.

- Jak sobie życzysz. Możemy już pójść na lunch?

Rozsądek podpowiadał jej uprzejmą odmowę. Mądra kobieta udałaby się do domu i zajęła praniem. Przewidująca kobieta poradziłaby Cole'owi, żeby rzucił się z okna poddasza...

- Muszę wracać do domu. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- To tylko lunch, Heather - powiedział, lekko unosząc brwi. - Po tak wyczerpującej pracy chciałbym cię przynajmniej nakarmić. A potem wrócisz do domu i zajmiesz się swoimi sprawami.

W końcu lunch to tylko forma podziękowania. Czują, że zaczyna już głupieć. Przecież nie ma w tym nic niestosownego.

- Może do Afrodyty? Najmodniejszy lokal w mieście.

- Nie jestem odpowiednio ubrana.
- Ależ jesteś. Tylko trochę otrzep się z kurzu. Nie zapominaj, że dzieli was przepaść. Cole ma zamek, a ty tylko kawalerkę. Z jednej strony - miliony dolarów, z drugiej - cukiernia. Podczas gdy Cole jada trzy dania w Afrodycie, ty zadowalasz się kanapkami w Ma's Deli.
- Jeżeli wyobrażasz sobie, że wsiądę wraz z tobą do śmigłowca... - zaprotestowała.
- Już odleciał. Nie słyszałaś? - Wziął ją pod rękę. - A ty twierdzisz, że to bardzo hałaśliwy dom. Nieładnie z twojej strony. Ale skoro masz mnie podwieźć, nie powinienem narzekać. Uśmiechnął się do niej. Jego uśmiech rozpromienił całe pomieszczenie. Heather poczuła ukłucie w sercu.
Uważaj, DeMarco, pomyślała. Sytuacja może wymknąć ci się spod kontroli.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chociaż Heather wciąż niezbyt przepadała za Dennison Tower, to nie przeżywała już katuszy przed wejściem do windy. Obecnie wystarczyło, że weźmie parę głębszych oddechów i wyobrazi sobie znajome biuro.

- To zabawne, ile wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu dni - mruknęła do siebie wysiadając na siedemdziesiątym czwartym piętrze. Jestem tu niemal bez przerwy.

Zgięta pod ciężarem torby, wypełnionej próbkami glazury dla prywatnych łazienek i marmurowych kuchennych blatów, podeszła do biurka sekretarki.

- Dzień dobry, Eileen. Mam nadzieję, że pan Dennison mnie oczekuje.

- Jest niżej w sali konferencyjnej, panno DeMarco. Prosił, żeby pani weszła i poczekała na niego. Sekretarka Cole'a jak zwykle sprawiała wrażenie osoby opanowanej, jednak za każdym razem Heather widziała w jej oczach błysk zdziwienia, że osoba, która niedawno wdarła się przemocą do biura jej szefa, ma tam teraz wstęp wolny. Eileen przeżyła szok, kiedy Cole uświadomił jej, że Heather podpatrzyła kombinację cyfr otwierającą drzwi. Dlatego za każdym razem, kiedy Heather wciskała odpowiednie guziki, wołała nie patrzeć w tę stronę.

W doskonale izolowanym wnętrzu panowała cisza. Wzrok Heather przyciągnęły przytłumione błękity i fioletole lilii z wiszącego nad kominkiem obrazu Moneta.

Kopia czy oryginał - zastanawiała się, układając glazurę na stoliku do kawy. Granity i marmury wyłożyła na biurko i przycupnęła na kanapie, czekając na Cole'a.

Powinien zjawić się za dziesięć - piętnaście minut, jak wywnioskowała z uprzednich doświadczeń. Początkowo ją to dziwiło. Jak to możliwe, żeby sekretarka twierdziła, iż Cole nie będzie miał czasu przez kilka następnych tygodni? Wyglądało na to, że jest na odwrót i że czas przecieka mu przez palce. Co takiego mógł mieć w końcu do roboty, oprócz wysiadania w biurze i oczekiwania na to, co się zdarzy? Jednak doświadczenie oraz Audrey Hobart przekonały ją o niesłuszności takich poglądów.

- W sumie Cole pracuje bardzo ciężko - wyjaśniła jej dziś rano Audrey. - Zarządza niezliczoną liczbą przedsiębiorstw. I nie ogranicza się jedynie do tego. Jeśli Cole uzna coś za szczególnie ważne dla siebie, błyskawicznie podejmuje decyzje. A potem bierze się za coś innego.

Heather pokiwała głową, pamiętając, jak energicznie Cole rozwiązał problem szkoły, a raczej jak energicznie rozwiązałby go, gdyby nie stanęła mu na drodze.

- Skoro jednak uzna sprawę za niezbyt ważną, powierza ją innym i przestaje się tym interesować. Dlatego wszyscy lubią pracować dla niego. Czują się odpowiedzialni za to, co robią, a szef nie zagląda im przez ramię, wytykając błędy.

Audrey rozejrzała się po gołych ścianach łazienki w domu Cole'a i z westchnieniem dodała:

- Natomiast pracować z nim nad projektem, którym się interesuje, to zupełnie coś innego. Myślisz, że spodobają mu się te błękitne kafelki, jakie przyniosłam ci przedwczoraj? Heather pokręciła głową.

- Raczej ciemnozielone i kremowe.

- Muszę jednak przyznać, że o wiele lepiej mi się pracuje, odkąd tu jesteś. Często go widzisz, prawda?

Na szczęście Heather głęboko pochyliła się nad torbą, bo czuła, że na jej policzkach wykwita zdradziecki rumieniec.

- Muszę się z nim widywać - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to niefrasobliwie. - Tyle rzeczy jest jeszcze do uzgodnienia. - Wyciągnęła kafelek. - O taki mi właśnie chodziło.

Audrey wzięła go bez słowa, lecz spojrzała jakoś dziwnie na Heather.

To pełne powątpiewania spojrzenie wywołało lekki dreszcz u Heather. A więc to nie tylko sprawka mojej wyobraźni, pomyślała. Skoro Audrey również zauważyła, może coś w tym jednak jest. Może Cole wpadał do ciastkarni i na plac budowy, by zobaczyć się z nią nie tylko z powodów związanych z wykończeniem domu.

A jeśli tak naprawdę chodzi mu o mnie...

Ta myśl mile łaskotała jej umysł już od dłuższego czasu. Ale nie dopuszczała jej zbyt często do siebie. Była zbyt niebezpieczna, zbyt przerażająca. Takie uniesienie mogło ją zbyt wiele kosztować, a Heather postanowiła zostać rozsądną kobietą.

W ciągu tych dziesięciu dni Cole często zabierał ją na lunch, lecz raz przy drinku zapewnił, że łączą ich tylko interesy. Pozwoliła mu się parę razy pocałować - zazwyczaj wtedy, gdy wydawał się rozbawiony tym, co powiedziała lub zrobiła - i kiedy odsyłała go na noc do pustego apartamentu hotelowego, nie przejmował się tym wcale...

- Należałoby cię wyrzeźbić w tej pozycji - odezwał się Cole, który wszedł po cichu prywatnym wejściem. Heather ani drgnęła. Podświadomie wyczuła jego obecność. Powoli odwróciła głowę.

- Mówisz tak jedynie dlatego, że gdybym była alabastrową rzeźbą, nie sprawiałabym ci kłopotów - mruknęła.

- Strata nie do powetowania. Chodź tu - poprosił gorąco.

- O nie - pokręciła głową - stoisz zaledwie o dwa kroki od okna.

- Wciąż ci to przeszkadza?

- Po co mam ryzykować?

- Bo bardzo śmiesznie tracisz wtedy głowę, a ja wiem, jak temu zaradzić.

To posuwa się trochę za daleko, pomyślała Heather. Zerwała się z kanapy.

- Przyniosłam ci trochę próbek do obejrzenia - powiedziała beztrosko. - Mam też dobre wieści. Wracam właśnie z domu. Gzymsy już są zamontowane i dostarczono marmur na posadzkę w holu...

- Najwyraźniej sprawia ci to przyjemność. - Owszem. Mozaika będzie przepiękna...

- Mam na myśli cały projekt.

- Bo przestałam krytykować? Nie ukrywam, że sprawia mi satysfakcję widok domu nabierającego realnych kształtów. Ale swojego zdania nie zmieniałam.

- Wiem. Powtarzasz mi wciąż, że to marnotrawstwo dobrych materiałów.

- Nie od rzeczy byłoby ofiarować go na jakiś szlachetny cel. Na przykład przekazać Century Club. To jest myśl! Mając taką siedzibę, przyjęliby wszystkich oczekujących na członkostwo...

- Cóż za szlachetny pomysł!

- Ależ, kochanie - zachichotała - wiesz przecież, że mam złote serce.

Cole parsknął z niedowierzaniem.

- Przepraszam - mruknęła Heather. - Czasem nie potrafię się powstrzymać. Tak naprawdę to przysłałam tylko po twoją zgodę. - Pogrzebała w torbie i wręczyła mu plastikową torebkę. - Masz, spróbuj. Może to osłodzi nieco twoje życie.

- Tym możesz mnie przekupić. Nowy przepis?

- Raczej bardzo stary. Znalazłam go w notatkach babci - odparła patrząc, jak Cole próbuje ciastko. - O takie ci chodziło?

- Niezupełnie. Moja babcia piekła bardziej aromatyczne. - Sięgnął po następne ciasteczko. - Jak to jest możliwe, że jesteś wciąż szczupła, mając wokół tyle ciastek?

- Mama rozdawała je sąsiadom, bo zjadałam je zbyt wolno, jak na jej gust.

- I stąd wpadła na pomysł otwarcia cukierni?

Heather przygryzła dolną wargę. Powiedz mu wreszcie, pomyślała. To nie fair utrzymywać go w przekonaniu, że jesteś historykiem sztuki. Zresztą już nie musisz. Sprawdziłaś się. Nie powinien mieć żadnych zastrzeżeń...

Cole wyciągnął z torebki kolejne ciasteczko i pochylił się nad biurkiem.

- Co my tu mamy? - spytał, biorąc do ręki kawałek granitu. - Przyznaj się, DeMarco, usiłujesz wpełznąć do środka tyle kamieni, żeby dom sam się zawalił.

- Genialny pomysł! - ucieszyła się Heather.

- Co z tego ma być?

- Błaty w kuchni. Granit nie rdzewieje i nie boi się zarysowania. Z kolei na marmurze wspaniale wyrabia się ciasto.

- Ile to będzie kosztowało? - chrząknął Cole.

- Mnóstwo pieniędzy. Ale opłaci się. Cieszę się, że się zgadzasz, bo już to zamówiłam.

Cole przeszedł z kolei do glazury.

- Byłem tego pewien.

Heather uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat.

- Czy dostałeś mój list w sprawie porządków w Archer's Junction?

- Dobrze wiesz, że tak. Wysłałaś mi go do hotelu z dopiskami: „Poufne”, „Osobiste” i „Ścisłe tajne”. Połowa personelu usiłowała przeczytać go przez kopertę. Myśleli, że to list miłosny.

Skierowałem go oczywiście do odpowiedniego działu.

- Domyślam się, że do Joego Hanforda. Pewnie w tym roku znów obejdziemy się bez pomocy Dennison Incorporated. - Heather sięgnęła po kafelek. - Ten kolor mi najbardziej odpowiada. Jest co prawda drogi...

Cole uniósł brwi.

- Nic dziwnego, że ci się podoba.

- Ależ, Cole - westchnęła Heather - przecież nie robię tego celowo. Audrey orientuje się w całości lepiej niż ja.

Cole delikatnie cmoknął ją w policzek. Heather stała nieruchomo, czekając, aż przesunie wargi w stronę kącika jej ust. Wtedy gwałtownie odskoczyła.

- Muszę wiedzieć, co wybrałaś, żebym mogła złożyć zamówienia przed weekendem.

- Czeka cię jakiś tajemniczy weekend?

- Wcale nie tajemniczy, tylko pracowity. Wiosenne porządki w Archer's Junction.

- Coś tam sobie przypominam - rzekł kwaśno

- Dlatego chciałabym przyspieszyć parę spraw i nie zmuszać wykonawców do czekania.

- A ty zajmiesz się zbieraniem śmieci. Ale zabawa!

- Śmieci czy nie, będę zajęta. Muszę to zorganizować. Archer's Junction przepięknie wygląda wiosną. Wszystko kwitnie: żonkile, tulipany, dzwonki...

Cole słuchał z poważną miną, lecz w jego oczach widać było rozbawienie. Nie wie biedak, co traci. Zamknięty w klimatyzowanym pomieszczeniu ogląda kwiaty jedynie na obrazie.

- A przed szkołą zakwitnie cały rząd dzikich jabłoni - dodała Heather, pakując próbki glazury. - Jakie masz plany, Cole? A może ludzie krzątający się po całym Archer's Junction byli jedynie wytworem mojej wyobraźni?

- No cóż, mieli być incognito.

- W tych nienagannie skrojonych garniturkach? Na kilometr wyróżniali się spośród mieszkańców, którzy chodzą w dżinsach.

- Zapamiętam to - odparł sztywniejac Cole.

- I co, zamierzasz przerobić szkołę na centrum handlu antykami? Pokręcił głową.

- Jest za duża. To poważnie naruszyłoby istniejący porządek. Dwanaście nowych sklepów z antykami jeszcze ujdzie, ale w tym wypadku liczba ich zwiększyłaby się o dwadzieścia pięć do trzydziestu.

- Założmy, że się z tobą zgadzam. A gdyby urządzić tam zwykłe centrum handlowe? Audrey wspominała o takiej możliwości. Co ty na to? Właściwie to nie mamy na miejscu ani apteki, ani sklepu z butami czy choćby kartkami świątecznymi.

- Na to z kolei jest za mała. Tego typu obiekty lepiej organizuje się w nowych budynkach. Heather omal nie zaczęła krzyczeć.

- Raz za duża, raz za mała. Już wiem, to sprawka Alicji z krainy czarów.

- Przepraszam, Heather, nic na to nie poradzę. Przecież sama chciałaś, żebym zajął się szkołą, zamiast sprzedać ją komuś, kto potrafi ją wykorzystać.

- Obiecałaś mi, że przekształcisz ją w coś pożytecznego - upierała się.

- I wciąż trzymasz mnie za słowo, więc powinno ci być obojętne, kto jest właścicielem szkoły. Na biurku zabrzączał interkom. Heather spojrzała na zegarek. O rany, przetrzymała go już pół godziny. Nie miała takiego zamiaru.

W głośniczku odezwała się Eileen.

- Panie Dennison, pani Winchester dzwoni w związku z pańskim telefonem.

Pani Winchester? Elizabetta? Dzwoni w związku z telefonem Cole'a. Właściwie nie powinno to dziwić Heather. Ale zdziwiło.

- Już mnie tu nie ma - powiedziała, pospiesznie zbierając ostatnie kafelki. - Naprawdę nie chciałam cię tak długo przetrzymywać.

Cole usiadł przy biurku, ale nie podnosił słuchawki.

- Masz wyjątkowe zdolności do odrywania mnie od pracy. Kiedy będę chciał przeprowadzić jakiś sabotaż, natychmiast cię zatrudnię.

Heather poczuła się fatalnie. Nie odpowiedziała, złapała torbę i rzuciła się do drzwi. Kiedy wprowadzała kod, usłyszała głos Cole'a.

- Witaj, Elizabetto. Słyszałem, że wracasz w niedzielę. Chciałbym się z tobą jak najprędzej zobaczyć. Musimy koniecznie porozmawiać. Przez ten czas zdążyłaś pewnie wszystko przemyśleć.

Heather poczuła, że coś ściska ją w gardle. Drzwi odsunęły się wreszcie i przemknęła jak błyskawica obok Eileen, spiesząc do windy. Po raz pierwszy opuszczała siedemdziesiąte czwarte piętro bez uczucia ulgi. Była jedynie zrozpaczona i wściekła na Cole'a, no i na siebie.

Czy już nadszedł dla nich czas wzajemnych wyjaśnień? „Przez ten czas zdążyłaś pewnie wszystko przemyśleć”, powiedział.

Doszła do wniosku, że te dwa tygodnie Cole uznał najwyraźniej za okres próby. A ją potraktował jak zabawkę, coś, co pozwoliło mu przeczekać, aż Elizabetta ochłonie, zrozumie z

czego chciała zrezygnować i spokojnie go wysłucha. Kiedy znów się zejda, co stanie się z Heather?

Pewnie zrezygnuje z moich usług, pomyślała. Cieszę się, iż nie będę już musiała zajmować się tą głupią glazurą. Tak się cieszę, że o mało się nie rozplącę.

Czuła, jak w głębi narasta szloch, mocno, boleśnie. Ty idiotko, powiedziała sobie, ty skończona idiotko!

Wymazała ze świadomości Elizabettę i wszystko, co było z nią związane, ponieważ chciała wierzyć, że tamta nic już dla Cole'a nie znaczy. A tymczasem była jedynie zabawką uprzyjemniającą mu czas oczekiwania na Elizabettę.

On wcale o ciebie nie dba, Heather. Nie przejmował się nawet tym, że wszystko słyszysz!

Przypomni sobie jedynie wtedy, gdy będzie potrzebował kogoś do przeprowadzenia sabotażu.

Tylko co mam zrobić z moimi uczuciami, pomyślała z rozpaczą.

Niechcący powiedziała mu prawdę. Z całego serca zajmowała się jego domem. Nie robiła tego jedynie ze względu na szkołę. Chciała sprawić mu przyjemność, zobaczyć, jak cieszy się z wykończonego domu.

W zamian pragnęła tylko jednej nagrody - Cole'a. Jego humoru, radości życia, jego troskliwości i miłości.

Chociaż starała się temu zaprzeczyć, to stanowiło podstawowy motyw jej działania.

Dla niego gotowa jesteś na wszystko, Heather DeMarco, przyznała wreszcie. Ponieważ się w nim zakochałaś...

Gdy dotarła wreszcie do tego najskrytszego zakątka serca, nie mogła powstrzymać natłoku gorzkich myśli. Była głupia, a nawet gorzej niż głupia, bo Cole nigdy nie dawał jej żadnych nadziei. Zaangażowała się zupełnie świadomie, wmawiając sobie w dodatku, że postępuje bardzo rozsądnie. Przez cały czas uparcie twierdziła, że czarne jest białe, pragnąc, by stał się cud.

A teraz przyszło jej za to płacić.

Heather nie wiedziała, czy to Joe Hanford przeszedł cudowną metamorfozę, czy też Cole wydał odpowiednie rozporządzenia, ale w sobotni poranek na przyszkolnych terenach pojawiła się ekipa. Z ulgą skreśliła ten punkt z listy i zaczęła przydzielać pracę swoim ochotnikom.

- Rod i Brian, uprzątniecie parking z puszek i śmieci. - Oparła podkładkę z listą o słupek i zaczęła smarować kark olejkami do opalania. - O, cholera!

Podkładka ześliznęła się ze słupka, a gdy usiłowała ją złapać, wylała na siebie olejek.

Czyjaś chłodna dłoń wytarła rozlany olejek z rękawa flanelowej koszuli Heather i zaczęła rozprowadzać go po jej twarzy.

- Sprzątanie może być bardzo przyjemnym zajęciem - mruknął Cole.

Nie wyczuła jego obecności. No cóż, pomyślała, nawet nasza chemia przestała działać. Stała spokojnie, podczas gdy palce Cole'a delikatnie pieściły jej policzki, czoło, nos.

Oczywiście, doszła do wniosku. Elizabetta wróci dopiero jutro. Nie wiadomo, o czym rozmawiali przez telefon, ale jest w wyśmienitym humorze. Tymczasem ma jeszcze jeden wolny dzień i postanowił spędzić go ze mną. Nie mogę go stąd wyrzucić, ale jeśli zapędzę go do roboty, będę miała spokój.

- Łap grabie, jeśli nie masz własnych - poleciała. - Możesz zacząć w tym małym parku za rogiem.

- Pracuję wyłącznie pod ścisłym nadzorem - odparł. - Poczekam, aż przyjdiesz mną kierować.

- Cole, nie bądź śmieszny.

- Wcale nie jestem śmieszny - zapewnił ją. - Po prostu nie wiem, co mam robić. Ale jako odpowiedzialny właściciel nieruchomości poczuwam się do pomocy.

Heather mruknęła coś pod nosem i rozdzieliła resztę zadań. Potem zaprowadziła go na ten sam skwerek, gdzie pili kawę i rozmawiali o szkole...

Gdybym tylko mogła cofnąć czas, powiedziała sobie, gdybym zrezygnowała z walki i wróciła do domu, nic by się nie stało.

Ale stało się i nic na to nie mogła poradzić. Już wtedy była nim zafascynowana.

- No - mruknął z zadowoleniem Cole. - Nareszcie sami.

Heather przesiadła się na drugi koniec ławki.

- Nie po to tu przyszliśmy, Cole. Później zobaczę, jak ci idzie.

Oparł się o grabie i popatrzył na nią uważnie.

- Co dziś w ciebie wstąpiło, Heather? - spytał zdziwiony.

Potwierdził w ten sposób swój obojętny stosunek do jej osoby. W przeciwnym razie wiedziałby, co ją gryzie. Widocznie zapomniał o tym, że była świadkiem jego wczorajszej rozmowy telefonicznej. Gdyby o tym pamiętał, domyśliłby się, że cierpi przez niego. Postanowiła nie dać mu tej satysfakcji i zachowywać się normalnie.

- Ze mną jest wszystko w porządku. Po prostu jestem zajęta - odparła i poszła zobaczyć, jak radzą sobie chłopcy na parkingu.

Nie widziała Cole'a przez parę godzin. Skwerek był co prawda nieduży, lecz powinna przydzielić mu kogoś do pomocy.

Kiedy tam wróciła, na środku piętrzył się stos śmieci. Po drugiej stronie skweru Cole przestał grabić i spojrzał na nią.

- Spytałem cię kiedyś, czy przy tobie wszyscy mężczyźni głupieją. Teraz widzę, że tak. -

Spojrzał na dłonie i jęknął.

- Pęcherze?

- Jeszcze nie. Ale pojawią się lada chwila. Heather nie wątpiła w to. Skwer był idealnie zagrabiony.

- Idź coś zjeść. W cukierni czekają kanapki. Przyślę kogoś, żeby to skończył.

-I odebrał mi satysfakcję z wykonanej pracy? - spytał, jednak posłusznie odłożył grabie i wziął ją za rękę.

Zachowuj się normalnie, upomniała się Heather. Jeśli odmówisz pójścia z nim na lunch, będzie to wyglądało podejrzanie.

W cukierni kłębił się tłum ochotników, którzy też przyszli coś zjeść, usiedli więc na parapecie, trzymając na kolanach papierowe talerzyki. Kiedy skończyli, Cole poszedł po kawę. Katherine wręczyła mu garść ciasteczek. Jego miejsce zajęła w tym czasie właścicielka sklepu z kutym żelazem. Cole, nie przejmując się wcale, usiadł niewygodnie w kąciku, przyciskając się do Heather. Objął ją ramieniem.

Heather zniosła to mężnie. Protestując ściągnęłaby jedynie na siebie uwagę. Nie było w tym nic niezwykłego. Przecież miała zachowywać się normalnie.

- Katherine! - zawołał Cole. - Czy nie chciałabyś otworzyć całej sieci takich cukierni? Choćby stąd do San Francisco?

- To poważna decyzja. Spytaj moją współpracowniczkę. Heather zainteresowała się nagle fusami w swoim kubku.

- Współniczkę? - zdziwił się Cole. - Heather, czyżbyś była współwłaścicielką cukierni?

Skinęła głową.

- Widzisz, po śmierci ojca towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło nam pewną sumę.

Musiałśmy z czegoś żyć, a dzięki cukierni mogłam pogodzić pracę ze szkołą. Potem też nie miałam zbyt wielkiego wyboru, więc...

- To nie studiowałaś historii sztuki?

- Jedynie w szkole.

Cole zrobił minę, jakby coś go nagle rozboleło. -I powierzyłem mój dom wartości pięciu milionów dolarów osobie wypiekającej ciasteczka?

- Usiłowałam ci to wyperswadować. Nalegałeś. - Nagle coś ją tknęło. - Przeznaczyłeś na ten dom pięć milionów dolarów, a ja zamartwiałam się ceną jakichś tam granitów?

- Do cholery, to jest mój dom, DeMarco.

- Jestem tego świadoma - odparła, czując jak na policzkach wykwitają jej rumieńce. - I codziennie dziękuję za to Bogu. Zupełnie jakbyś nie wiedział, jak nie cierpię tego koszmarnego domu. - Zerwała się z parapetu, wrzuciła kubek do worka na śmieci i zawołała: - Dobra, chłopaki, jeśli chcecie dziś świętować koniec porządków, ruszcie się wreszcie. Kto pozbiera śmieci wzdłuż autostrady?

Jednak myślami była daleko od sprzątanina. Marzyła, żeby móc dzielić kiedyś z Cole'em jakiś kącik. Dom, mieszkanie, apartament hotelowy. Nie pogardziłaby nawet namiotem, byle tylko byli razem.

Ponownie zobaczyła go wieczorem, podczas zaimprovizowanego przyjęcia. Kiedy podszedł do niej, machinalnie zaczęła nakładać sobie na talerz znienawidzoną sałatkę ziemniaczaną.

- Przepraszam - powiedział.

- Ja również.

- Zostaniemy nadal przyjaciółmi? - poprosił szeptem.

Po co pyta, przecież to jasne. Skinęła głową.

Cole uśmiechnął się jak nigdy dotąd. Był to ciepły, promienny, przyjazny uśmiech, który wywarł na niej piorunujące wrażenie.

To niebezpieczny człowiek, myślała. Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo równie egoistycznego, pewnego siebie, a zarazem fascynującego. Jest taki męski i tak zniewalający. Chociaż wiem, czym to grozi, nie mogę się opanować.

Usiedli razem. Heather w zdumieniu przysłuchiwała się rozmowom Cole'a z jej sąsiadami.

Wydawał się zachwycony opowieściami pana Maxnera o życiu w Archer's Junction przed pięćdziesięcioma laty.

- Nigdy nie miałem takich miłych sąsiadów - powiedział Cole, obficie polewając trzeciego hot-doga ostrą musztardą. - Po śmierci mojego ojca matka musiała iść do pracy i zamieszkaliśmy w jakimś okropnym getcie.

To wyjaśniałoby sprawę budowy zamku oraz związku z Elizabetta. Ona również wydzwignęła się sama. Widać ulepieni byli z jednej gliny.

Cole przyglądał się jej uważnie.

- Nie płacz - powiedział. - W końcu nie było tak źle, nie wykoleiłem się.

Odprowadził ją do domu w milczeniu. Kiedy przytulił ją do siebie i pocałował, nie protestowała. To jedna z ostatnich kradzionych chwil, pomyślała, bo nigdy nie będziemy razem.

Przywarł do niej w długim, czułym pocałunku. Ciało Heather przeniknęła lekki dreszcz.

Chciała powiedzieć mu tyle rzeczy, a potem pożegnać z lekkim uśmiechem. Bała się, że będzie próbował jakichś sztuczek.

Zamiast tego Cole przyglądał się jej długo i wreszcie powiedział:

- Bardzo pragnę się z tobą kochać, Heather. Skinęła głową. Nie było to przyzwolenie, a jedynie potwierdzenie jego słów.

- Mogę zostać? - szepnął.

Rozsądna kobieta nie dodawałaby sobie zbędnego cierpienia, pomyślała Heather. Wiem, czym ryzykuję, utratą dobrego samopoczucia, może nawet zdrowych zmysłów. Ale to niczego nie zmieni, bo i tak nie potrafię przestać o nim myśleć. Nie mogę już bardziej cierpieć. Przynajmniej dostanę jakiś strzęp miłości. Wspomnienie, które będę mogła zachować na zawsze...

- Tak - odparła cicho. - Możesz zostać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Księżyc dopiero wschodził i jego światło zdążyło ledwo musnąć okna saloniku, tworząc cienie o nieziemskich kształtach. Heather potknęła się o coś, w chwili gdy drzwi cicho zamknęły się za nimi. Sięgnęła do kontaktu, ale Cole przytrzymał ją za rękę.

- Nie trzeba - powiedział i wziął w dłonie jej twarz. Były szorstkie.

- Porobiły ci się pęcherze - szepnęła.

- Nie przejmuj się tym, Heather - zamknął jej usta w powolnym, spokojnym pocałunku.

Przyćmione światło zmusiło ją do wyłączenia wzroku, lecz po chwili doszła do wniosku, że nie musi się mu przyglądać. Zamiast tego poddała się jego pieszczotom, wsłuchiwała w niespokojny oddech, wchłaniała zapach jego włosów i ciała, smakowała niecierpliwość głodnych ust...

Z cichym jękiem zrezygnowała z wszelkiego oporu. Cole wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Tu światło księżycy było o wiele silniejsze. Rozjaśniało srebrzyście twarz Cole'a i Heather mogła dostrzec w jego wzroku płomień pożądania. Bardzo delikatnie rozpiął jej koszulę i jeszcze delikatniej przesunął wargami wzdłuż krawędzi kryjącego piersi stanika.

- Flanela i koronki - szepnął Cole, kryjąc twarz w miękkim zagłębieniu między piersiami. -

Jesteś pełna sprzeczności, Heather DeMarco.

Heather zadrżała pod wpływem tego czulego i zaborczego zarazem dotknięcia. Cole gładził ją dalej, wzmagając to niepokojące uczucie.

Kiedyś Heather pomyślała sobie, że móc kochać się z Cole'em byłoby najwspanialszą rzeczą na świecie. Nie pomyliła się. Było to tak, jakby Cole znał każdy centymetr jej ciała. Wiedział bezbłędnie, jak ją ma pieścić, by wzbudzić jej namiętność, a w dodatku odkryła, że gdzieś w podświadomości posiada taką samą wiedzę na jego temat. Zupełnie jakby naprawdę nauczyli się siebie w innym życiu i przechowywali to doświadczenie w samotnych marzeniach aż do tej chwili, kiedy dane im było ponownie odtworzyć swój zakątek raj.

Kiedy Heather zdołała ponownie się poruszyć, zobaczyła, że Cole obserwuje ją w blasku księżycy. Uniósł się na łokciu i wplątał palce w jej rozsypane na poduszce włosy.

- Pragnąłem tego od momentu, w którym wdarłaś się do mojego biura - powiedział cicho.

Skinęła głową. Znała to uczucie, które również narastało w niej aż do dziś. Pewnego razu zastanawiała się nawet z lękliwą fascynacją, czy Cole nie zaproponuje jej romansu w zamian za ocalenie szkoły. Teraz uświadomiła sobie, że nigdy nie przyszłoby to jej do głowy, gdyby nie zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i nie szukała dogodnej wymówki...

- Cieszę się, że nie postawiłaś takiego warunku w negocjacjach - odezwała się. - Ale dlaczego, Cole? Romans w zamian za szkołę...

Cole zeszywniał.

- Ponieważ tego nie można z niczym wiązać - szepnął i mocno ją pocałował.

Odpowiedź Cole'a głęboko nią wstrząsnęła. Ten człowiek wydawał się nie przywiązywać do niczego.

Żadnych obietnic. Podejrzewała nawet, że ślubna przysięga będzie znaczyła dla niego mniej niż dla jakiegokolwiek innego człowieka. Heather nie mogła zapomnieć o oddzielnych sypialniach w domu Cole'a, uważając nadal, że to była jego inicjatywa.

Nawet jego żona nie będzie miała do niego większych praw, niż ja je mam w tej chwili. Tej nocy... - pomyślała.

Przywarła mocno, położyła mu głowę na piersiach i wsłuchiwała się w bicie jego serca. Myśli Heather płynęły zgodnie z tym rytmem. Potem zasnęła, nadal przytulona do niego, choć oddalona o tysiące lat świetlnych.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze, dopóki Cole nie otarł jej policzków.

- Chrapałem, prawda? - powiedział. - A ty nie możesz tego znieść.

Heather gwałtownie pokręciła głową i spróbowała wytrzeć oczy, ale bez skutku. Straciła panowanie nad sobą i rozsłochała się.

Dlaczego on niczego nie traktuje serio? Czy wszystko musi obracać w żart? Kiedy się tego nauczył, w dzieciństwie? Wczoraj wieczorem napomknął, że nie dał się wykoleić. Czy to jego sposób na złe wspomnienia?

Cole delikatnie dotknął jej czoła.

- Czy chcesz, żebym sobie poszedł? Zaniósł się płaczem.

- Nie - wykrztusiła przez zęby. - Tylko nie to...

Palcami dotknął jej włosów. Nie był to gest pożądania, raczej próba ukojenia. Lecz to niewinne dotknięcie obudziło w niej burzę uczuć. Heather pochyliła się w jego stronę z błagalnym jękiem. Kiedy uciszyły się zmysły i oboje leżeli pogrążeni w spokoju, usnęła wtulona w jego ramiona.

Gdy Heather obudziła się, było już zupełnie jasno. Z przerażeniem spojrzała na stojący obok zegar. Zrobiło się bardzo późno. Ekipa sprzątająca zaczęła się zbierać za jakąś godzinę, a ona powinna znaleźć się tam przed nimi. Nie miała jednak ochoty zrywać się z łóżka. Uniosła się na łokciu i leżąc cicho, obserwowała śpiącego Cole'a.

Nikt nie odbierze mi tych paru bezcennych minut u boku mężczyzny, którego kocham, pomyślała.

Cole leżał na plecach, odwrócony twarzą w drugą stronę. Przyszło jej do głowy, że wygląda tak, jakby chciał uciec. A jeszcze przed chwilą, gdy spoczywała w jego ramionach obejmując go ręką, zdawała się go zatrzymywać...

Ta myśl podziałała na nią jak kubel zimnej wody. Raz wyzwolony potok ponurych myśli nie dawał się już zahamować. Poczowała, jak ją ścisła w dołku.

Jesteś głupia, oskarżał ją głos wewnętrzny. Bardzo głupia. No i co w ten sposób osiągnęłaś?

Mogłaś przecież odesłać go wczoraj do domu i przynajmniej ocalić godność i szacunek dla samej siebie. Czy jedna noc, którą z nim spędziłaś, była tego warta? A co będzie, kiedy on się obudzi? Uwieszysz mu się na szyi, Heather, czekając aż rozważy, czy w ogóle ta noc miała dla niego jakieś znaczenie? Przecież powiedział, że nie lubi się wiązać. Na co czekasz, na jego bezwzględność?

Odsunęła się od niego. Cole westchnął cicho i wyciągnął rękę w stronę jej poduszki. Heather powstała chwilę obok łóżka, wpatrując się w niego. Chciała zachować w pamięci jego obraz niczym fotografię. Może dzięki temu nie będzie szlochać po nocach...

Pozbierała ubranie i na palcach przeszła do łazienki. Kiedy potem w kuchni pisała liścik, który miała zamiar zostawić mu obok dzbanka z kawą, z tyłu usłyszała jego głos.

- Myślałem, że sprząatanie już się zakończyło - powiedział, wpatrując się w jej dobrze dopasowaną flanelową koszulę.

Heather podskoczyła, pióro wysliznęło się jej z ręki, zostawiając na spłowiałych dżinsach ciemną smugę. Zaczęła ją wycierać, lecz bez większego przekonania. Była to jedynie wymówka, żeby na niego nie spojrzeć. Gdy wreszcie odwróciła się w jego stronę, to, co zobaczyła, nie nappełniło jej otuchą. Cole, w pomiętym ubraniu i z porannym zarostem, przypominał jej pirata. A więc nie oczekiwał, że przyniesie mu kawę do łóżka, inaczej by nie wstawał. Raczej nie chciał, by wraz z kawą przyniosła mu swoje oczekiwania i nadzieje, dlatego ubrał się pospiesznie.

Heather powiedziała sobie, że nie będzie masochistką. Była wystarczająco nieszczęśliwa i nie zamierzała przysparzać sobie dodatkowego bólu, czekając aż jej serce pęknie.

- Porządki - przypomniał Cole.

- Ach, tak. Zostało mnóstwo rzeczy do zrobienia. Przycięcie drzewek wzdłuż High Street.

Posadzenie krzewów w parku. Zasadzenie kwiatków na uporządkowanych wczoraj grządkach.

Chociaż nie było żadnego powodu, zarumieniła się czekając na jego odpowiedź. Nie była pewna, jak to skomentuje, ale z doświadczenia wiedziała, że jego słowa mogą zabrzmieć dwuznacznie.

- To wygląda o wiele zabawniej - powiedział cicho Cole. - Lepiej niż wczoraj.

Heather ogarnęła falą rozpaczy. Zdecyduj się na coś wreszcie, pomyślała. Z jednej strony nie lubisz, kiedy ci docina, z drugiej nawet cię to bawi. Czujesz się wtedy bezbronna, ale wszystko inne przestaje mieć znaczenie.

Cole sięgnął jej przez ramię i wziął przeznaczoną dla niego kartkę. Zanim wszedł, zdążyła zaledwie napisać: „Kawa gotowa, filiżanki znajdziesz w...”. Z pewnością nie było to szczytowe osiągnięcie literackie.

Przeczytał wiadomość i spojrzał na zegarek.

- Muszę wracać do hotelu.

Powiedział to takim tonem, jakby chciał się usprawiedliwić, że dzisiaj nie będzie mógł pomóc.

- Mam ważne spotkanie o dwunastej. - Przeciągnął dłonią po zarost i uśmiechnął się gorzko. - Z trudem doprowadzę się do porządku na czas.

Heather zrozumiała ten usprawiedliwiający ton. Wcale nie chodziło o to, że musiał wracać do pracy.

Nie kłam, Cole, chciała krzyknąć. Wiem, co to za ważne spotkanie. To Elizabetta. Zapomniałeś już, że słyszałam, jak z nią rozmawiałeś?

Opanowała się jednak.

- W niedzielę? - spytała tylko. - Mam nadzieję, że to nic ważnego.

Powiedziała to jednak w taki sposób, że Cole przyjrzał się jej uważnie.

- Może nawet coś bardzo ważnego - rzekł. - Zadzwoń do ciebie później.

Musnęła wargami jej policzek i już go nie było.

Heather stała pośrodku kuchni. Dłoń zacisnęła tak mocno na piórze, że wreszcie pękło. A więc to tak. Magiczna, namiętna noc ustąpiła przed pozbawionym złudzeń porankiem. Cole nie mógł poczekać z wyjściem choćby paru minut. Wszystko skończone.

- Przykro mi, Cole - wykrztusiła przez zęby. - Obawiam się, że będę zajęta dziś wieczorem. To na wypadek, gdybyś chciał zadzwonić...

Wątpiła jednak, czy zechce.

Heather wróciła do domu tuż przed północą. Część osób, biorących udział w wiosennych porządkach, wylądowała po pracy w pizzerii. Pili piwo, niczym szarańcza pochłaniali pepperoni i kłócili się o wszystko, od religii poprzez politykę aż do spraw dotyczących Archer's Junction. Podczas omawiania kwestii związanych ze szkołą omal nie doszło do rękoczynów.

- Powinnaś była zostawić ją w spokoju - zaatakował Heather jeden z oponentów. - Pozbylibyśmy się jej wreszcie, ale ty wtrąciłaś się i zobacz, co uzyskałaś! Nadal stoi na miejscu opuszczona i nic nie zmienia się tam przez najbliższe sto lat. A wszystko przez to, że pokumałaś się z Cole'em Dennisonem!

Słowom tym towarzyszył nieprzyzwoity gest, a Heather na powrót ogarnęły wątpliwości.

Przypomniała sobie, że parę dni temu Audrey Hobart smętnie pokiwała głową, gdy próbowała pomówić z nią o szkole.

Starła się odsunąć od siebie zwątpienie. W końcu Cole dał jej słowo honoru.

Ale kiedy na wpeł serio poprosiła o umowę na piśmie, nie dostała jej. Pozostawało więc jedynie ustne zobowiązanie, na mocy którego mogłaby wymusić na nim podjęcie działań. Ale cóż znaczyło jej słowo przeciwko słowom Cole'a?

Przecież coś dzieje się w szkole, wciąż kręcą się tam jacyś ludzie.

Ale niewiele zdziałali, zreflektowała się. Owszem, załatali dach i wprawili parę szyb w oknach. Materiały wartości tysiąca dolarów i paru robotników mają przekonać opinię publiczną, że Cole interesuje się szkołą. Wykpiwa się tanim kosztem.

Wszystko wymaga przecież czasu, przekonywała sama siebie. Szaleństwem byłoby rozpoczynanie renowacji bez przygotowanego planu. Trzeba wprawdzie wiedzieć, co chce się zrobić, zanim się cokolwiek zacznie.

Czy były jednak jakieś możliwości? Wyglądało na to, iż wszystkie plany upadły. Heather nie wątpiła, że Cole szuka jakiegoś rozwiązania. Codziennie szkołę oglądali różni fachowcy. Jednak wydawało się, że nic nie wymyślili.

W konsekwencji nie odezwała się, pozwalając, by inni spierali się dalej. Może jednak jej oponent miał rację? Może nie powinna się wtrącać? W końcu Archer's Junction mogłoby lepiej na tym wyjść.

Bez wątpienia byłoby to łatwiejsze rozwiązanie.

Tylko czy lepsze? Czy lepiej byłoby dla niej, gdyby nie poznała Cole'a Dennisona i oszczędziła sobie cierpień?

W tym momencie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Kapitan straży pożarnej odprowadził ją do domu. Gdy wchodzili po schodach, powiedział jej, że ujęto podpalaczy szkoły podczas próby wzniesienia ognia w opuszczonym budynku w innej dzielnicy.

- To dobrze - odparła. Usłyszała, jak w jej mieszkaniu zadzwonił telefon. Wydawało się jej, że jego dźwięk jest pełen złości. Nie bądź głupia, Heather, pomyślała, telefon nie ma uczuć.

- Czy powie pani o tym Dennisonowi? - spytał z nadzieją strażak. - Pewnie będzie zadowolony. Heather skinęła głową. Była zbyt spięta, żeby zachować się bardziej swobodnie, zwłaszcza że wiedziała, kto właśnie do niej dzwoni. Na pewno Cole.

Kiedy weszła do mieszkania, telefon umilkł. Zapanowała cisza. Cole nie zatelefonował ponownie.

Heather wzięła kąpiel, a potem ociągając się położyła się do łóżka. Noc nie przyniosła jej ulgi. W poniedziałek rano miała się spotkać z Audrey w domu Cole'a. Przed świtem postanowiła jednak, że nie pojedzie. Uznała, iż nie ma sensu. Nie powinna się tym więcej zajmować. To zapewne chciał jej powiedzieć Cole wczorajszej nocy.

W ostatniej chwili złapała kluczyki od samochodu i pojechała. Wytłumaczyła sobie, że dopóki oficjalnie nie zostanie zawiadomiona o rezygnacji z jej usług, nadal spoczywa na niej odpowiedzialność za prowadzone prace. W końcu Audrey nie była winna temu całemu zamieszaniu.

Gdyby Cole miał nieco więcej zdrowego rozsądku, wystarczyłoby do niej zadzwonić, mruknęła do siebie jadąc szybciej niż zwykle. Buduje dom o wartości pięciu milionów dolarów, a nie zatroszczył się o zainstalowanie telefonu.

Od frontu, pomiędzy samochodami dostawców, stało zaparkowane auto Audrey. Heather zorientowała się, że hydraulicy przystępują do wyposażania łazienek. Robotnicy wyładowywali właśnie ciężką skrzynię. Wyśliznęła im się z rąk i omal nie spadła na stojące obok czarne porsche. Udało się ją złapać w ostatniej chwili.

Heather przygryzła dolną wargę. Nie знаła nikogo, kto by jeździł czarnym porsche.

Przytrzymała robotnikom drzwi, patrząc, jak ostrożnie wnoszą swój cenny ładunek. Wewnątrz usłyszała jakieś głosy i ociągając się ruszyła w tym kierunku. Poprzez gabinet, salę bilardową - śmieszne, ale nigdy nie spytała Cole'a, czy naprawę grywa w bilard - dotarła do palarni.

Wyraźnie słyszała dwie kobiety. Miękki kontralt należał do Audrey, ale ten drugi głos?

Audrey zobaczyła Heather pierwsza i uśmiechnęła się do niej dziwnie. Wówczas odwróciła się ta druga kobieta. Była wyższa i szczuplejsza od Audrey. Miała na sobie długie, połyskujące ciemnozielone spodnie, żakiet z tego samego materiału, a na głowie zawój z dopasowanego kolorystycznie materiału.

Już wiem, co się stało, pomyślała Heather. Upiła się i ogoliła na zero podczas pobytu we Francji. Dlatego musi teraz nosić te dziwaczne turbany.

- No proszę, jest nasza mała mamusia - odezwała się Elizabetta.

Audrey zrobiła wielkie oczy, ale nic nie powiedziała.

- Rozumiem, że przyszłaś zwrócić resztę próbek i pozbierać swoje rzeczy, które się tu walają dookoła - lodowatym tonem kontynuowała Elizabetta. - Spodziewam się, że masz ze sobą klucz. Proszę go dziś zwrócić.

Heather pomyślała, że tego właśnie mogła się spodziewać. Dlatego nie żywiła w stosunku do rywalki żądzy mordy. W końcu nie była to jej wina. Co więcej, Heather podziwiała spokój, z jakim Elizabetta radziła sobie w trudnej bądź co bądź sytuacji. Gdyby było na odwrót, Heather z pewnością rzuciłaby się jej do oczu.

No tak, skonstatowała. Elizabetta nie musi rzucać się na mnie z pazurami. Wygrała.

Spojrzała na Audrey. Wyglądała na zmieszaną, ale to wcale nie przyniosło Heather ulgi. Gdyby Audrey wiedziała o tym, że pogodzenie się Cole'a i Elizabetty jest nieprawdą, zaczęłyby protestować. Jeśli nie wiedziałyby nic na ten temat, zdumiona zadałaby mnóstwo pytań. A więc to prawda. Pogodzili się i sytuacja wróciła do normy.

- Masz rację, Elizabetto - powiedziała spokojnie i wyjęła z kieszeni olbrzymi klucz. Nie cierpiała go, ale rozstawała się z nim z trudem. Nie znosiła również tego domu wraz z jego pretensjonalnym przepychem, ale nadal stanowił dla niej wyzwanie w postaci problemów do rozwiązywania, a każde właściwe rozstrzygnięcie dawało jej mnóstwo satysfakcji.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z owoców mojej pracy - dodała.

Elizabetta uniosła lekko brwi.

- Niektóre są niezłe - przyznała uprzejmie. - Wiele rzeczy będę musiała oczywiście zmienić, ale na szczęście Audrey udało się ciebie powstrzymać.

Heather zastanawiała się, czy w odpowiedzi nie powinna cisnąć torby z próbkami pod nogi Elizabetty. W końcu postawiła ją w kącie pokoju.

- W sprawie próbek blatów kuchennych porozmawiaj z Cole'em - rzekła. - Obawiam się, że zostawiłam je w piątek w jego biurze. Byliśmy zajęci czymś innym.

Natychmiast pożałowała swojej wypowiedzi. Jeśli nie stać cię na nic lepszego, DeMarco, skarciła się w myślach, to lepiej milcz. Musiałabyś się bardziej postarać, żeby wyprowadzić z równowagi tę opanowaną kobietę.

Miała rację. Elizabetta uśmiechnęła się jedynie i powiedziała uprzejmie:

- Z pewnością go o to spytam, kiedy udamy się wieczorem do Century Club na spotkanie wprowadzające.

A więc wykorzystała swoje znajomości, żeby wprowadzić go do Century Club, z podziwem pomyślała Heather. No cóż, Jack Winchester musiał tam należeć i Elizabecie byłoby przykro, gdyby Cole był gorszy od jej przyjaciół.

Heather wyszła zmieszana, pocieszając się jedynie tym, że Elizabetta niczego nie zauważyła.

Była zajęta wydawaniem Audrey poleceń odnośnie żyrandola.

Cole miał rację. Przejrzał na wskroś Elizabettę i wiedział, że wystarczy jedynie przeczekać.

Postąpił tak i wszystko się ułożyło.

Heather nie mogła się powstrzymać od rozważań, czy to Cole prosił i błagał, czy też pierwsza ustąpiła Elizabetta.

Ledwie Heather zdążyła włożyć fartuszek, gdy zadzwonił telefon. Katherine zdjęła już swój i poprawiała włosy przed wyjściem na lunch.

- Cukiernia - powiedziała machinalnie Heather.

- Czym mogę służyć?

- Heather - rozległ się w słuchawce przytłumiony głos. - Usiłowałem się wczoraj do ciebie dodzwonić. Nie było cię w domu...

- Chyba ci wspominałam, że mam swoje plany- odparła nonszalancko, tak jak gdyby nie obchodziło ją to w gruncie rzeczy.

- Muszę z tobą pomówić. Zjedźmy razem lunch.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Ostatnio za bardzo zaniedbywałam pracę.

- W takim razie jutro.

- To nic nie da, Cole. Nie mogę wyjść, mama źle się czuje i...

Po drugiej stronie sali Katherine aż zamrugwała ze zdziwienia. Wyglądała jak okaz zdrowia i czuła się wyraźnie dotknięta takim pomówieniem. Heather odwróciła się do niej tyłem i przeszła do natarcia. Nie było sensu przeciągać tej rozmowy.

- Jeśli chcesz poinformować mnie o Elizabecie i o tym, że nie muszę dłużej zajmować się twoim domem, to nie fatyguj się. Już wiem.

W słuchawce zaległa na chwilę martwa cisza.

- Tak? - powiedział Cole. - No i co o tym sądzisz?

Heather poczuła się, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy. Jak on śmie pytać mnie jeszcze o zdanie?-

- Tego się właśnie spodziewałam - odparła lodowatym tonem. - I mniejsza, co o tym myślę.

Mam klientów, Cole. Do widzenia.

Po dziesięciu minutach telefon zadzwonił ponownie.

- Czy klienci już wyszli?

- Nie. Dlaczego przeszkadzasz mi w pracy?

- Bo tam przynajmniej musisz odbierać te cholerne telefony - powiedział ponuro.

- Już ci mówiłam. Wczoraj nie było mnie w domu.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać, Heather? Dlaczego? Czyżbym był niedobry w łóżku?

Pomyślał o tym w pierwszym rzędzie, zauważyła.

- Nie - odparła najswobodniej, jak tylko zdołała. - Byłeś znakomity.

- No to, o co chodzi? - spytał porywczo. - Nie możesz najpierw zachowywać się w ten sposób, a potem udawać, że się nic nie stało...

Krew uderzyła jej do głowy. Czyżby proponował jej kontynuację romansu? Ukradkowe spotkania w jej mieszkaniu, a może nawet chciałby, żeby przemykała się do jego domu? Wiedziała, że dom Cole'a jest wystarczająco wielki, a przy dziewiętnastu drzwiach trudno połapać się, kto wchodzi, a kto wychodzi.

Odłożyła słuchawkę, nie mówiąc nawet do widzenia.

W środę po południu Heather nie mogła doczekać się chwili zamknięcia. W środy życie zawsze zwalniało swój rytm w Archer's Junction. Prawdziwy ruch rozpocznie się dopiero pod koniec tygodnia. Jednak dziś było wyjątkowo sennie. Katherine wzięła sobie wolne popołudnie, żeby pozatławić jakieś sprawy, a Heather miała aż za dużo czasu na rozmyślanie.

Wpędziła się w niezłe tarpaty, moja mała, powiedziała sobie. Zaświtało jej w głowie, że niezależnie od tego, jak bardzo nieprzyzwoita była wczorajsza sugestia Cole'a, nie należało odkładać słuchawki. Prawie przekonała samą siebie, że powinna pójść z nim na lunch i posłuchać wyjaśnień.

Dobrze wiesz, czemu tak myślisz, zreflektowała się. Po prostu nie możesz uwierzyć, iż wszystko skończone i wolałabyś, żeby cię okłamywał, zamiast przyznać, że zrobiłaś z siebie idiotkę.

Prawda jest taka, że w minutę owinąłby cię dookoła palca.

W szkole skończyły się lekcje i dokładnie siedemnaście minut później Rod wraz z grupą przyjaciół zajęli swoje miejsce przy stoliku, by trochę podroczyć się z Heather. Ale po paru minutach Rod wstał, podszedł do kontuaru i popatrzył na nią z niepokojem.

- Marnie dziś wyglądasz, Heather - powiedział.

- Dziękuję - odparła kwaśno.

- Chodzi mi o to, że już nie bawi cię przekomarzenie się z nami.

- Wręcz przeciwnie, Rod - parsknęła Heather. - Jest to o niebo lepsze od fałszywego współczucia!

Rod zmieszał się, a jej zrobiło się przykro. Cóż jednak miała robić? Mogła albo zachowywać się jak zraniona łania, rzucić pracę i podsycać ogólne podejrzenia, że coś zaszło pomiędzy nią a Cole'em Dennisonem, albo udawać, że nic się nie stało i postarać się o wszystkim zapomnieć. Z czasem może nawet tak będzie.

Zatem, gdy wyciągnęła następną tacę ciasteczek z piekarnika, sporą ich część zaniosiła do stolika.

- Macie chłopcy, cieszcie się.

- Za darmo? - spytał Rod i zrobił przerażoną minę.

Heather trąciła go lekko w ramię.

- Żebyście mieli siłę ruszyć się stąd - powiedziała. - Nie macie nic lepszego do roboty?

Rod uśmiechnął się.

- Jesteśmy twoją najlepszą reklamą. Spójrz tylko na nas - sama siła i zdrowie. A wszystko to zawdzięczamy twojej cukierni!

Zjawiła się właścicielka sklepu z wyrobami z kutego żelaza. Heather zapakowała jej to, co zwykle, a gdy wydawała resztę, sąsiadka zauważyła:

- Wydaje mi się, że twój bogaty przyjaciel nie będzie już potrzebował żelaznych kręconych schodków, co?

- A skąd mam to wiedzieć?

- W takim razie dobrze zrobiłam, że ich nie kupiłam. Ale wiem, gdzie można dostać kilkanaście sztuk. Szkoda, że przepadła okazja do zrobienia takiego interesu.

Heather w zamyśleniu pokiwała głową. Nagle coś ją tknęło.

- Dlaczego mi o tym mówisz? Nikt przecież nie wie, co Cole zamierza z tym zrobić. To znaczy, on sam chyba jeszcze nie jest tego pewien.

Sąsiadka wzruszyła ramionami.

- Łatwo zgadnąć. Chłopcy z ekipy remontowej zatrzymali się przed chwilą przy moim sklepie. Jechali do szkoły.

- Chyba po to, żeby przystąpić do renowacji - zasugerowała nieśmiało Heather.

- Zaczynają rozbierać dach. Trudno dziś dostać takie dachówki.

W cukierni zapanowała martwa cisza.

- A więc mimo wszystko postanowił ją zburzyć - wyszeptała wreszcie Heather. Zbieła jej wargi, a krew szumiała w uszach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zrobił to celowo, pomyślała bezradnie, żeby odplacić mi za to, że go odrzuciłam.

Ale jeśli zdecydował się już na zburzenie szkoły, czemu nie użył do tego dźwigu z kulą? Taki gest byłby bardziej dramatyczny, a efekty o wiele szybsze.

W końcu jednak, co za różnica? Chyba się przeceniasz, Heather. Znacysz dla niego tak niewiele, że nie przejmuję się tym, co myślisz. Nigdy go nie obchodziłaś. Obiecał ocalić szkołę nie ze względu na twoje prośby, ale dlatego, że odpowiadał mu układ, który z nim zawarłaś. A skoro umowa wygasła... .

Mogłam się tego spodziewać. Wiem przecież, jak stanowczo potrafi działać Cole, gdy już raz podejmie decyzję. Powinna wiedzieć, że jest do tego zdolny.

Ale nie sądziła, że tak się stanie. Przecież, mimo wszystko, dał jej słowo.

Dlaczego miała mu nie ufać? Przedtem nie złamał żadnej obietnicy. Nie było to trudne, bo niczego jej nie przyrzekał. Od początku było jednak wiadome, że pogodzi się z Elizabetta. I tak się stało.

W takim razie zapewnienia Cole'a, że gmach szkoły zaadaptuje do jakiegoś użytecznego celu okazały się jedynie pustymi obietnicami. Może nawet nie zdaje sobie sprawy, iż łamie słowo. Czyżby sądził, że odzyskanie materiałów budowlanych będzie wystarczającą rekompensatą? Heather nie robiło to żadnej różnicy, czy szkoła zostanie stopniowo rozebrana, czy też kula burząca wryje w tym miejscu ogromną dziurę w ziemi. Zniknie budynek, jedyna wartościowa rzecz...

- Czy jesteś pewna, że chcą rozebrać cały budynek? - spytała nerwowo właścicielkę sklepu z kutym żelazem. - Dach przecieka. Może zdejmują dachówki jedynie po to, żeby załatać dziury? Sąsiadka wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że wspominali coś o zdjęciu dębowych belek stropowych. Niektórych o długości powyżej dwunastu metrów. Takich się już nie dostanie.

Heather serce podeszło do gardła.

- Chyba że w magazynie ekipy remontowej.

- No a cegły, kto dziś kupuje używane cegły? Poproszę o jeszcze jedno ciastko. Czekolada zawsze poprawia mi humor, gdy dobry interes przejdzie mi koło nosa. Myślę o tych kręconych schodach. Ciekawe, do czego on chciał ich użyć...

Heather nie słuchała jej.

Rod pochylił się nad kontuarem. W dłoni trzymał nadgryzione ciastko, o którym najwyraźniej zapomniał.

- I co teraz zrobimy, Heather?

Pokiwała bezradnie głową. Niewiele pozostało im do zrobienia.

- Chyba nie zamierzasz się teraz poddać, co? Heather ożywiła się.

- No cóż, dowiedzmy się przynajmniej, co się dzieje - powiedziała, podnosząc słuchawkę.

Audrey Hobart była akurat w biurze i sekretarka połączyła ją natychmiast. Heather przemknęło przez głowę, że nadal uważa ją za ważnego klienta swojej szefowej.

- Audrey - zaczęła.

- Heather, tak mi przykro z powodu tamtego poranka! Sama byłam zaszokowana, kiedy Cole mi o tym powiedział. Przykro mi również, że Elizabetta zachowała się w tak zjadliwy sposób. Nie zamierzam z nią dalej współpracować. Zniszczy to, co zrobiliśmy razem...

- Audrey - przerwała jej Heather. - Dzwonię w zupełnie innej sprawie. Chodzi o szkołę. Co się tam, do cholery, wyprawia? Zaczynają ją burzyć.

W słuchawce zapadła cisza. No tak, pomyślała wcale tym nie zdziwiona Heather. Teraz zastanawia się, jak ma mi to powiedzieć.

- O co chodzi, Audrey?

- Heather - westchnęła ciężko Audrey. - Cole prosił mnie, żebym ci nic nie wspominała o szkole. Jeśli chcesz wiedzieć, jakie ma zamiary...

- Do diabła, Audrey. On chce wybudować coś nowego na tym miejscu, tak czy nie?

- Tak, ale... Heather zamknęła oczy.

- Gdybyś zechciała z nim porozmawiać, Heather... Sprawa jest bardzo złożona...

- Dziękuję, Audrey. Na pewno z nim porozmawiam - powiedziała oschle i trzasnęła słuchawką. Rod odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. Ręce splótł na poręczu, wzrok mu błyszczał.

- Co zamierzasz, Heather? Znow możemy zwołać sąsiadów.

- No, nie wiem - powiedziała właścicielka sklepu z kutym żelazem. - Jeżeli zamierza coś wybudować na tym miejscu, nie będzie tak źle. Inaczej nie mam co liczyć na sprzedanie mu tych kręconych schodów.

Tej kobiecie chodzi tylko o jedno, pomyślała ze złością Heather. Łatwo potrafi się przystosować! Zdjęła fartuszek.

- Rod, jeśli nie wrócę za piętnaście minut, zadzwoń do Cole'a. Powiedz mu, że jestem w szkole i nie ruszę się stamtąd.

- Nie zdołasz się tam dostać, Heather - zaproponował Rod. - Tym razem kłódki są bardzo mocne. Musiałabyś użyć łomu.

- Jakoś sobie poradzę.

- A ja mam tu siedzieć i czekać?

Heather uśmiechnęła się do niego, choć oczy nadal miała smutne.

- Wcale nie, Rod. Obejmujesz posterunek. Rod chrząknął.

- Jak dodzwonić się do niego?

- Obok telefonu jest zanotowany prywatny numer Cole'a. Wątpię, by zmienił go od wczoraj. I jeszcze jedno, żadnych bezpłatnych próbek dla kolegów.

Cisnęła czepek i fartuszek do kuchni. Pobiegnęła na wznórze. Dotarła tam mocno zadyszana i zobaczyła ciężarówki ekipy remontowej, zaparkowane za rogiem sali gimnastycznej. O ścianę stały oparte drabiny.

Wokół nie było widać żywego ducha. Zawołała, ale nikt jej nie odpowiedział. Z wysokiego na dwa piętra dachu sali dochodziły jedynie odgłosy typowe dla prac rozbiórkowych. Zrywane dachówki dzwoniły niczym porcelana.

Wyburzanie już się zaczęło, jedynie ty możesz ich jeszcze powstrzymać, powiedziała sobie. Przede wszystkim musisz porozmawiać z robotnikami na dachu.

Rzut oka na drabinę wystarczył, by Heather dostała dreszczy. Pożałowała, że kazała Rodowi dzwonić do Cole'a, zamiast przysłać go tutaj. A gdyby tak wrócić do cukierni i zatelefonować do adwokata?

Doszła do wniosku, że to bez sensu. Co innego, gdyby budynek był wpisany do rejestru zabytków. Już za późno, żeby to załatwić i Cole wiedział o tym. Pewnie na to liczył. Zanim uda się coś załatwić, prace posuną się tak daleko, że jedynym rozwiązaniem będzie całkowite wyburzenie.

Należało działać natychmiast. Wypadło właśnie na Heather.

Ponownie popatrzyła na drabinę. Po jednym stopniu i nie patrz w dół.

Aluminiowa drabina wydała się jej niematerialna w dotyku. Szczebłe drżały pod jej stopami i Heather pomyślała, że w porównaniu z tym chodzenie po rozżarzonych węglach to fraszka. Jestem już chyba w połowie drogi, zastanawiała się. Na pewno w połowie! Bała się jednak spojrzeć w dół. Drabina zdawała się sięgać nieba.

Dotarła wreszcie do krawędzi dachu obok miejsca, w którym stał kiedyś kamienny rzygacz. Może zdjęli go już robotnicy, a może sam dawno zleciał. Nie mogła sobie przypomnieć.

Jeszcze dwa szczeble i znalazła się na pochyłym dachu, do którego przytwierdzona była kolejna drabina. Ta wprawiała ją w jeszcze większe przerażenie, ponieważ prowadziła w górę pod nienaturalnym kątem. Heather zatrzymała się na chwilę, by wciągnąć powietrze do skurczonych ze strachu płuc. Zastanawiając się, jak ludzie mogą pracować w tych warunkach, utkwiała wzrok w dachówce znajdującej się bezpośrednio nad nią i zacisnęła zęby.

Przysięgam, że jeśli zejść żywa z tego dachu, wypiję z radości całą butelkę szampana.

Konstrukcja dachu zdumiała ją, bo na szczycie okazało się, że znajduje się na płaskiej, pokrytej smołą powierzchni.

- To dziwne - mruknęła - z dołu wydaje się, że to skrzydło stanowi jednolitą całość z resztą budynku.

Zza rogu wyjrzał jeden z robotników zrywających rząd dachówek.

- Co pani tu robi, do diabła? - krzyknął. - To nie wesołe miasteczko!

- Przyszłam skontrolować przebieg prac - odpowiedziała spokojnie Heather. - Wszystko w porządku. Jestem współpracownicą Cole'a Dennisona.

Robotnik wziął się pod boki.

- Mimo wszystko nie ma pani nic do roboty na dachu.

Heather zlekceważyła go. Niezdarnie podeszła na środek dachu, unikając spojrzenia na zewnątrz.

- Ile czasu zajmie wam uporanie się z tym wszystkim?

- Wszyscy domagają się gwarancji - odparł kwaśno robotnik. - Dokładnie nie wiadomo.

- Musi pan mieć przynajmniej jakąś orientację. Nie działacie chyba bez planu.

Wzruszył ramionami.

- Niektóre z tych belek stropowych mają piętnaście metrów długości. Jeśli ruszy się je w złej kolejności, wszystko może się zawalić.

W sercu Heather zgasła ostatnia nadzieja, że to tylko remont dachu.

-A ta podłoga z twardego drewna. Zacznie się pani spieszyć i zostaną same drzazgi. Wszystko wymaga czasu.

Heather nie słuchała go dalej. Wszyscy chcą jakichś gwarancji. W języku Cole'a Dennisona znaczy to - rozebrać jak najszybciej. Nic dziwnego, chce przystąpić do wznoszenia nowego obiektu, korzystając z sezonu budowlanego. W dodatku pragnie mieć goły plac, zanim sąsiedzi zorganizują się ponownie. I to mu się uda.

- Jeżeli już pani zaspokoili swoją ciekawość, czy zechce pani zejść z dachu? - uprzejmie poprosił robotnik.

- Owszem, zejść - machinalnie odparła Heather. Odwróciła się, zapominając o widoku, którego tak starannie unikała. Przed jej oczami rozpościerała się panorama całej doliny, z jej wzgórzami, domami i wznoszącym się w głębi miasta potężnym wieżowcem ...

Heather poczuła narastającą falę paniki. Nic nie odgradzało jej od tego widoku. Jedyna droga ucieczki wiodła po chwiejnych drabinach. Już samo wspięcie się w górę stanowiło okropne przeżycie, ale myśl o zawisnięciu w próżni na drżących aluminiowych szczeblach...

Chciała zaczerpnąć powietrza, ale płuca odmówiły jej posłuszeństwa. Zupełnie, jakby przygotowywały się do nadchodzącej katastrofy.

Robotnik podszedł do niej.

- Proszę uważać, panienko. Dach jest w kiepskim stanie i nie chcę być odpowiedzialny za wypadek.

- Bardzo pocieszające - mruknęła Heather. Odwróciła się od przerażającego widoku i wzrok jej spoczął na żelaznych schodach przeciwpożarowych, umocowanych w miejscu połączenia skrzydła z głównym budynkiem. Dawniej istniał pewnie odcinek prowadzący znad sali gimnastycznej w dół, ale po zamknięciu szkoły usunięto go w obawie przed włamywaczami.

Teraz droga ewakuacyjna wiodła jedynie w górę.

Kapitałnie, pomyślała. Osoba z lękiem wysokości chce wejść jeszcze wyżej.

Ale to były schody z prawdziwą poręczą, a nie jakaś tam drabina.

Przemknęła przez dach i zaczęła wspinać się schodami. Teraz zaczęli krzyczeć wszyscy robotnicy, ale Heather nie odważyła się spojrzeć w dół poprzez ażurowe stopnie.

Na szczycie schodów przeciwpożarowych znajdowały się drzwi, niestety zamknięte. Obok, po prawej stronie, było okno, na szczęście nie zabite dyktą. Kit utrzymujący je w ramie dawno się wykruszył. Heather wepchnęła szybę do środka. W ten sposób powstał otwór wystarczająco duży, by mogła się przez niego przecisnąć.

Tuż za nią wspiął się jeden z robotników.

- Chciałam się dostać na dół drogą wewnętrzną - wyjaśniła mu zduszonym głosem. - Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

Do uszu Heather dobiegł charakterystyczny odgłos śmigłowca.

Niech cię cholera, Rod, pomyślała. Mówiłam ci, że masz zaczekać piętnaście minut. Teraz nie mam już czasu, żeby zastanowić się, co robić dalej...

Popędziła ciemnym korytarzem, gorączkowo szukając miejsca, w którym mogłaby się zabarykadować. Nagle spostrzegła niewielkie drzwi zamykające schody na wieżę. Prześliznęła się przez klapę w podłodze w chwili, kiedy śmigłowiec okrążał gmach.

Zapomniała o podmuchu powietrza wzniesionym przez rotory, którego tu nie łagodziły żadne bariery. Przywarła do jednego z filarów podtrzymujących dach wieżyczki i przeczekała, aż maszyna przeleci nad nią, płosząc przy okazji stado gołębi. Miała wrażenie, że pod naporem powietrza przetnie ją ostra krawędź filaru.

Śmigłowiec osiadł na szkolnym dziedzińcu, a Heather oderwała się wreszcie od słupa. Kiedy pojawił się Cole i przysłaniając ręką oczy popatrzył w górę, pomachała mu ręką, siedząc na poręczy okalającej wieżyczkę. Nie było to zbyt wygodne miejsce, ale Heather musiała gdzieś przycupnąć, ponieważ kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

Z tej odległości nie mogła wyraźnie dostrzec twarzy Cole'a, lecz widziała, że sposepniał.

Gwałtownie wyszarpnął coś z kieszeni. Klucz do drzwi frontowych. Towarzyszący mu mężczyzna zawrócił do śmigłowca, a Cole samotnie ruszył ku schodom.

Heather wiedziała, że dotarcie do jej grzędy zajmie mu dłuższą chwilę. Oparła się plecami o filar i zaczęła pogwizdywać dla dodania sobie animuszu. Żeby niepotrzebnie nie wyglądać na zewnątrz, obejrzała sobie dokładnie wieżyczkę. Była większa, niż można było przypuszczać patrząc z dołu, o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych. Dwanaście filarów rozlokowanych po rogach, wygiętych w gotyckie łuki, podtrzymywało dach. Każdy kawałek kamienia był starannie obrobiony. Heather zastanawiała się, po co budowniczowie zadali sobie tyle trudu. Mało kto tu zaglądał.

Usłyszała skrzyp kłapy w podłodze i nie odwracając głowy powiedziała:

- Cześć, Cole.

Kątem oka obserwowała, jak wynurza się z otworu. Zbliżył się do niej bardzo ostrożnie, jakby bał się, że zaraz skoczy.

- Nie bój się, nie zamierzam popełnić samobójstwa.

- Czy myślisz, że mnie to uspokoi?

- Sądziłam, że tak - odparła, wzruszając ramionami.

- Prawdę mówiąc, mam ochotę cię popchnąć. Skąd, u diabła, wpadło ci do głowy podziwiać stąd widoki.

- Doszłam do wniosku, że w ten sposób przekonam cię o tym, jak bardzo jestem zdeterminowana.

-Tak? Czyżby cała historia o lęku wysokości została wyszana z palca?

Heather zeszła z poręczy i stanęła z nim twarzą w twarz.

-Słuchaj... Czy ty naprawdę uważasz, że celowo tak się zachowałam w oszklonej windzie?

- To całkiem możliwe.

- Przyjmij łaskawie do wiadomości, że to nie była udawana panika - powiedziała oschle. -

Miałam coś lepszego do roboty, niż starać się, żebyś mnie pocałował.

Cole przeszedł na drugą stronę wieży, oparł się o poręcz i popatrzył w dal.

- Zdecyduj się wreszcie. Najpierw nie chcesz ze mną rozmawiać, aż tu raptem tak.

- Bo wtedy nie miałam ci nic do powiedzenia.

- A teraz masz? O co chodzi, Heather? Nie mogłaś do mnie zadzwonić?

- Usiłuję postawić na swoim. Przecież obiecałeś mi, Cole. Dałeś mi słowo honoru, że nie zniszczysz tego budynku.

Cole pokręcił głową.

- Oczywiście - rzekł. - Chodzi o ten cholerny budynek. Nic innego dla ciebie się nie liczy. Czego znów chcesz?

- Myślałeś, iż przegapię ten manewr? Wiesz, że spychacze załatwią w parę godzin to, co ekipie remontowej zajmie całe miesiące. Czemu nie użyjesz dynamitu, żeby rozwiązać sprawę w kilka sekund? Podłóżysz ładunki w wieży. Bum! Co za wspaniały widok...

- Heather, ja wcale nie burzę tego budynku.

- Uważasz mnie za ślepą albo za głupią? Ci robotnicy przynajmniej byli uczciwi - dodała, pokazując rękaw stronę sali gimnastycznej. Skrzypienie gwoździ wyciąganych z belek stropowych upewniło ją, że prace trwają nadal.

Cole skrzyżował ręce na piersiach.

- I co takiego ci powiedzieli?

- Może najpierw usłyszę twoją wersję i zobaczę, czy się zgadza.

Cole mruknął coś pod nosem.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedział wreszcie. - To skrzydło zostało dobudowane czterdzieści lat temu, kiedy gmach główny stał już prawie od pół wieku. Udało się im dopasować wygląd

zewnątrzny, ale sama konstrukcja jest o wiele słabsza. Jeżeli weźmiemy pod uwagę szkody wyrządzone przez pożar i tak dalej... Po prostu rozbieramy to skrzydło. A ekipa remontowa stara się, żeby dachówki i pozostałe materiały można było powtórnie użyć. - Podniósł się i ruszył w stronę wjazdu. - Następnym razem sprawdź wszystko dokładnie, zanim się znów wygłupisz, DeMarco.

Heather w milczeniu usiadła na poręczy. Widok robotników zrywających dachówki utwierdził ją w przekonaniu, że mają zamiar rozebrać cały budynek. To był logiczny wniosek, lecz jak się okazało - błędny.

- Ale najpierw sprawdziłam - upierała się. - Audrey powiedziała mi, że masz zamiar coś budować na tym miejscu. Chyba że w ciągu pół godziny od mojej rozmowy z nią zmieniłeś nagle zdanie.

Cole zatrzymał się w pół kroku. Widać było, że jest spięty.

- Audrey za dużo gada. Co jeszcze powiedziała? Heather hardo uniosła głowę.

- Co jeszcze mi powiedziała? - powtórzyła.

- Mniejsza z tym - rzekł Cole z dziwnym błyskiem w oku. - Powstanie tu szereg nowych rzeczy. Parę małych budynków z boku.

- A to po co? - zjeżyła się Heather.

- Mieszkania, cztery czy pięć domków, które nie zeszpecą krajobrazu. Dodając je, zyskamy więcej mieszkań i wystarczająco dużo miejsca na basen oraz dodatkowe wyposażenie.

- Mieszkania - westchnęła. - Udało ci się to rozwiązać! Och, Cole... - rzuciła się w jego stronę z otwartymi ramionami.

- Chcesz coś jeszcze wiedzieć? - spytał chłodno. - Nie? To do widzenia.

Heather patrzyła z niedowierzaniem, jak znika w głębi otworu.

Następnym razem sprawdź wszystko dokładnie, zanim się znów wygłupisz... Nie ma co, zasłużyła sobie na tytuł największej idiotki. To był kolejny głupi wyczyn. Podobnie jak wdarcie się do jego biura, przerwanie przyjęcia zaręczynowego i zakochanie się w nim. A teraz oskarżyła go o kłamstwo. Zrobiła to, bo jedynie w ten sposób mogła się z nim zobaczyć. I na co liczyłaś, Heather? Sądziłaś, że Cole ucieszy się na twój widok...

Łzy przesłoniły jej oczy i nie dostrzegła złamanej podstawy masztu. Nagle podłoga usunęła się jej spod nóg i runęła. Wyobraźnia podpowiedziała jej koszmarną scenę, w której stacza się aż za krawędź dachu. Heather zaczęła rozpaczliwie krzyczeć.

Upadła ciężko na coś twardego, ale strach nie pozwalał jej otworzyć oczu.

- Heather - rozległ się zduszony głos, a jakaś dłoń zaczęła gładzić jej włosy. - Och, Heather, mój Boże, myślałem, że wypadłaś przez poręcz.

Otworzyła oczy. Ujrzała złamane drzewce masztu i kolana w szarych spodniach.

- Ja również - powiedziała.

Zabrakło jej sił. Gdy Cole podniósł ją wreszcie, wtuliła twarz w jego marynarkę, pragnąc tak tkwić bez końca.

Cole przycisnął usta do jej czoła.

- Zabiorę cię do domu.

- Nie - zaprotestowała odruchowo. - Jestem zanadto zszokowana. Myślę, że zostanę tu jeszcze przez chwilę.

Cole przesunął delikatnie dłonią po jej włosach.

- Nie powinienem cię tu zostawiać, wiedząc, jak bardzo się boisz.

- Nie powinieneś - szepnęła. - Nigdy nie powinieneś mnie zostawiać.

A jednak zostawił ją. Dla Elizabetty. To zmieniło wszystko.

Odsunął ją i przyjrzał się jej zdumiony.

- Już dobrze - powiedziała. - Idź, Cole. Zejdę sama.

- Czemu nie chcesz dać mi jeszcze jednej szansy? - spytał ze smutkiem. - Chciałbym wiedzieć, co tak cię odmieniło, Heather. Byłaś najpiękniejszą, najbardziej czułą i kochającą kobietą tej nocy. Nawet mimo łez. A jednak rano wymknęłaś się z łóżka, jakby zawstydzona tym, co nas połączyło.

- Nie chciałam cię budzić.

- Tu chodzi o coś więcej - pokręcił głową Cole.

- Patrzyłaś na mnie przerażona tym, że znalazłem się w twoim łóżku.

- Skąd możesz wiedzieć, jak na ciebie patrzyłam? Przecież spałeś.

- Nie, przyglądałem ci się i nagle zrozumiałem, że gramy w zupełnie różne gry. Dlaczego, Heather? Co się stało?

Heather podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je rękami. Cóż szkodzi powiedzieć mu prawdę. Może pogodzi się z odpowiedzią i da jej spokój?

- Ponieważ była to tylko gra, a mnie nie podobały się jej reguły. - Spróbowała się uśmiechnąć. - To nie twoja wina, Cole. Stawiałeś sprawę szczerze. Może to głupio z mojej strony, ale nie mogłam się na to zgodzić. Zwłaszcza od kiedy porozumiałeś się z Elizabetta...

- Heather - wycedził przez zęby Cole - przecież mówiłaś, że nie cierpisz tego cholernego domu! Wzdrygnęła się, jakby usłyszała nagle dźwięk syreny strażackiej.

- A co ma z tym wspólnego dom?

- Ponieważ go nie cierpisz, odstąpiłem go Elizabetcie za cenę, jaką za niego dałem, byle się go pozbyć.

- Sprzedałaś jej dom?

- Tak. A jeśli teraz powiesz mi, że chcesz go z powrotem - to jak mi Bóg miły, Heather DeMarco

- własnoręcznie wyrzucę cię przez barierkę!

- I nie poprosiłaś jej o rękę?

Cole wyglądał tak, jakby niebo runęło mu na głowę.

- A ty myślałaś, że tak? Skinęła głową.

- Mogłam myśleć w ten sposób. Powiedziałeś, że chcesz z nią porozmawiać, zwłaszcza że wszystko przemyślała. Było dla mnie jasne, że zrobisz wszystko, żeby ją odzyskać i...

- Mój ty jasnowidzu - jęknął Cole. - Do cholery, Heather, jak mogłaś przypuszczać, że wciąż pragnę ożenić się z Elizabetta?

- Byliście przecież zaręczeni aż do momentu, w którym narobiłam tego zamieszania. Miłość nie umiera w jednej chwili, Cole, z powodu jakiegoś nieporozumienia.

- Masz rację, miłość nie umiera w jednej chwili. Heather struchlała.

- Inna sprawa, czy to w ogóle można nazwać miłością.

- To znaczy, że jej nie kochałeś? - szepnęła. Cole pokręcił głową.

- Bardzo lubiłem Elizabetę - powiedział szybko, jakby recytując jednym tchem wyuczoną lekcję. - Współczułem jej po śmierci Jacka Winchestera. Nigdy nie udawaliśmy przed sobą wielkiej miłości, ale nie było nikogo innego i oboje mieliśmy dość samotności. Kiedy jednak wtargnęłaś do mojego biura, poczułem nagle świeży powiew wiosny...

- A jednak poszedłeś na przyjęcie zaręczynowe.

- Owszem, bo nie wydawałaś mi się realną istotą. Kobiety takie jak ty nie istnieją, Heather. Dlatego nadal zamierzałem poślubić Elizabetę. Twoje pojawienie się na zaręczynach było niczym wiosenna burza.

- Przykro mi.

- Wcale nie, więc nie kłam. Kiedy po przyjęciu wróciliśmy do domu, Elizabetta oświadczyła, że to nic wielkiego. Nie było jej dość długo, więc gotowa jest mnie zrozumieć.

- A ty zacząłeś zastanawiać się, jak spędzała czas we Francji.

- Co najzabawniejsze, nie przyszło mi to do głowy. Powiedziałem jej jednak, że zmieniłem zdanie w sprawie naszego małżeństwa.

- Więc to ty z nią zerwałeś, nie ona?

- No cóż, ja wiedziałem, że jej chodzi o moją pozycję i pieniądze. Ale kiedy zobaczyłem w niej bezduszną istotę, której nie porusza nawet taki incydent...

- Wyobrażałam sobie, że dostała wtedy ataku hysterii.

- Nie, Elizabetta nigdy nie traci panowania nad sobą. Nie ma zwyczaju płakać. No i nigdy nie oblizuje tak nerwowo warg jak ty. To doprowadza mnie do szału, Heather.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Chodzi mi o zupełnie inny rodzaj szaleństwa - powiedział, przytulając ją mocniej do siebie. Długi, namiętny pocałunek uświadomił Heather, jak niewiele brakowało, by utraciła go na zawsze. Zadrzała.

- Kiedy powiedziałaś mi, że ten dom jest okropny, przejrzałem na oczy. O wiele wcześniej niż usłyszałem twoją rozmowę z Audrey...

- Cole, o czym to Audrey miała mi nie mówić?

- Och, Heather, zawsze popsujesz każdą niespodziankę. Chodź, oprowadzę cię po naszym przyszłym mieszkaniu.

- Tu, w szkole?

- Nie jest co prawda wyłożone piaskowcem, ale nie możemy mieszkać w hotelu, bo oszalejemy. Moglibyśmy ulokować się w Dennison Tower i nigdy nie odsłaniać firanek, jednak to wyjście wydaje mi się lepsze, bo strych znajduje się jedynie na czwartym piętrze.

- Strych? - mruknęła.

- Przez cały czas, kiedy pracowałaś nad moim domem, Audrey wyciągała z ciebie informacje o tym, co ci się naprawdę podoba. Będziemy tu mieli miejsce nawet na geranium!

- Naprawdę?

- Na wieży, rzecz jasna. - Machnął szeroko ręką.

- To nasze patio. W sobotnie wieczory będę smażył kielbaski na ruszcie.

- Cole, ty wariacie!

- Plany dostałem już wczoraj. Chciałem ci je pokazać wieczorem.

Pogroziła mu palcem.

- Znowu zaczynasz kręcić. Wieczorem byłeś wraz z Elizabetką w Century Club.

- Owszem, miałem taki zamiar, zwłaszcza gdy dałaś mi do zrozumienia, że nie ma dla mnie miejsca w twoim życiu. W końcu jednak zdecydowałem, iż nie będę jeszcze jedną bombką na ich choince. Przesłałem im uprzejme przeprosiny i moją rezygnację z członkostwa.

- Cole, twoje sfery cię odtrąca.

- Wątpię. A swoją drogą bawię się o wiele lepiej tu, w Archer's Junction.

- Kocham cię - szepnęła i na dłuższą chwilę zaległa cisza.

Wreszcie Cole podniósł głowę.

- Heather - zaczął niepewnie. - Zadałaś mi pytanie, na które nigdy ci nie odpowiedziałem: co zamierzam zrobić w sprawie twojego dziecka.

Heather poczuła, że wewnątrz robi jej się zimno.

- Kocham je - szepnął. - Prawie tak bardzo jak ciebie. A te wszystkie plotki, jakie krążą na ten temat...

-Tak?

- Nie przejmuj się nimi więcej. Wszystkie twoje dzieci będą moje. I to zupełnie legalnie, bo zamierzam jak najprędzej ożenić się z tobą...

Pocałował ją znów, a ona odwzajemniła ten pocałunek z całej duszy.